

aleje 3

NUMER 63 wrzesień - październik 2007
ISSN 1427-8812 CENA 2 zł

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy





aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

**Pismo finansowane
przez Urząd Miasta Częstochowy****Wydawca**Biblioteka Publiczna
im. dr. Wł. Biegańskiego
w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
www.biblioteka.czest.pl**Redakcja**Aleje NMP 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
aleje3@op.plTeksty niezamówione nie będą zwracane.
Zastrzegamy sobie możliwość opracowania
i skracania przysyłanych materiałów.Poglądy Autorów nie zawsze
odzwierciedlają poglądy Redakcji**Red. Naczelny**Marian P. Rawinis
Tel. 0505-666-486
mprawinis@poczta.onet.pl**Skład i łamanie**

Krzysztof Klaus

Druk i oprawa:Sowa - druk na życzenie
www.sowadruk.pl
tel. (0-22) 431-81-40**Publikacja współfinansowana
przez Samorząd Woj. Śląskiego**

W Sokolich Górach zawsze jest pięknie. Może jesienią najpiękniej i wędrowanie przynosi wiele niezwykłych wrażeń. A choć to teren bliski Częstochowy, nawet w dni wolne od pracy nie spotykamy tłumu spacerowiczów, grzybiarzy, wycieczkowiczów czy rowerzystów. Można do woli korzystać z bogactwa natury. Jurajskie krajobrazy zachwycają, ale i wywołują refleksje poważniejsze – o powtarzalności pór roku, o przemijaniu. O tym, co ważne w życiu i o tym, co jest warte utrwalenia, co przetrwa i będzie zapamiętane.

Jest w naszym mieście wielce zasłużona Filharmonia Częstochowska. Dobra orkiestra, która od lat ma swój budynek, sale koncertowe, solistów, dyrygentów, chór, ponadto dorobek artystyczny, renomę i ambitne plany. Słowem, wszystko, co potrzeba. Mamy więc koncerty, festiwale, występy, recitale, imprezy. Brakuje tylko jednego. Otóż istniejąca od 1945 r. Filharmonia Częstochowska nie ma swojego patrona - imienia, którym mogłaby się szczycić i po którym byłaby rozpoznawalna w świecie.

Przed kilkoma miesiącami grupa entuzjastów skierowała do Rady Miasta propozycję, żeby filharmonia otrzymała imię. Wszystkie filharmonie w Polsce je mają, tylko my o tym nie pomyśleliśmy. Ta propozycja to nazwanie Filharmonii Częstochowskiej imieniem Wojciecha Kilara. Światowej sławy kompozytor jest przecież związany z Częstochową, gdzie bywa i gdzie wykonywana jest jego muzyka (np. podczas Międzynarodowych Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”). Jest związany z Jasną Górą i powszechnie wiadomo, że to właśnie tutaj często poszukuje inspiracji. Muzyka Kilara ma bowiem swoje źródła m.in. w muzyce ludowej i sakralnej, jej autor sięga do głębokich, najgłębszych korzeni narodowej kultury.

Rada Miasta na razie nie odpowiedziała na zgłoszoną propozycję. Wątpliwości, jakie spodziewamy się usłyszeć, to fakt, że kompozytor Wojciech Kilar jest człowiekiem żyjącym, a w zasadzie nie ma zwyczaju nazywania czegoś imieniem żyjącego człowieka. Od razu odpieramy ten zarzut, bo i zwyczaje się zmieniają. Istnieją już przecież Państwowe Szkoły Muzyczne imienia Kilara - we Wodzisławiu Śląskim, Dzierżonowie, ale także i w Rzeszowie. Więc nie tylko na Śląsku, z którym przede wszystkim lubimy kojarzyć tego artystę z naszej, częstochowskiej perspektywy. A przecież to wcale nie jest tak. Wojciech Kilar tylko mieszka na Śląsku, tak samo jak czasami mieszka w Częstochowie, Nowym Jorku, Paryżu. Jest obywatelem całego świata, ponieważ wszędzie gra się jego muzykę i wszędzie się jej słucha.

Czy był, czy jest jakiś kompozytor - związany z Częstochową - bardziej znany niż Kilar, o większym dorobku artystycznym? Nie ma i zapewne długo nie będzie. Zatem, jeśli jest w zwyczaju nadawać filharmoniom imiona wybitnych muzyków i kompozytorów, niech nasza Filharmonia nosi imię najwybitniejszego. I nie wydaje się słuszne, żebyśmy mieli czekać, aż Wojciech Kilar przeminie. Czy muzyka staje się lepsza, ciekawsza, bardziej wartościowa tylko dlatego, że jej kompozytor odszedł już do przodków?

Wojciech Kilar ma 75 lat. Oby żył jak najdłużej, jak najdłużej pracował. I oby zgodził się udzielić swojego imienia Filharmonii Częstochowskiej. Byłby to bowiem zaszczyt, gdyby tak wielkie muzyczne nazwisko kojarzono w świecie z naszym, powiatowym w końcu, miastem.

Marian Piotr Rawinis

Nareszcie u siebie

Dotąd wiecznie na walizkach i występach gościnnych – 25 września 2007 Regionalne Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie przywitało gości w zaadaptowanym do swoich potrzeb budynku Konduktorowi przy ulicy Piłsudskiego 34/36. Impreza wpisała się w obchody XV Dni Częstochowy. Z okazji otwarcia siedziby Zachęty przygotowała wystawę zbiorową „Kolaż urodzinowy”, w której wzięło udział ponad 60 artystów – w większości częstochowian – ale również zaprzyjaźnionych twórców z Polski i z zagranicy. To dla oka, a dla ucha – można było posłuchać koncertu grupy Ye She w składzie: Antoni Gralak, Marek Pospieszalski, Jan Prosciński, Piotr Pawlak,



wspieranej wokalnie przez Stanisława Sojkę. Zgromadzonych bardzo licznie przybyłych witali prezes Zachęty Piotr Głowacki, prezydent Tadeusz Wrona oraz naczelnik Wydziału Kultury Ireneusz Kozera – przedstawiając krótko historię działań Towarzystwa i jego starań o własną siedzibę. Budynek został przekazany artystom i wyremontowany przez Urząd Miasta, wyposażony dzięki wsparciu Zygmunta Rolata. Prace do kolekcji sztuki współczesnej Zachęty zakupiła dzięki dotacjom z Instytutu Adama Mickiewicza, Narodowego Centrum Kultury i Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego. W trakcie imprezy odbywała

się symboliczna kwesta, mająca przypomnieć, iż Towarzystwo liczy na finansowe wsparcie swoich przedsięwzięć.

Wystawa „Kolaż urodzinowy” jest prezentacją twórczości osób będących członkami Towarzystwa, przyjaciółmi, zainteresowanymi jego działalnością. Składają się na nią obrazy, grafiki, rysunki, sgraffito, rzeźby, fotografie, obiekty przestrzenne, prezentacje multimedialne, a nawet wiersze podane w formie plastycznej.

Jest ona – w małych próbkach – zapowiedzią tego, co w najbliższych miesiącach będzie prezentowane na ścianach sali wystawienniczej. Są już bowiem plany wystaw mających odbyć się do końca roku 2008 i zarys planów sięgających końca roku 2009. Obecnie oglądać możemy prace m.in. Jacka Pałuchy, Beaty Bebel-Karankiewicz, Dariusza Pali, Włodzimierza Karankiewicza, Jerzego Kędziory,

Sabiny Lonty, Elżbiety Chodorowskiej, Jacka Łydzby, Szymona Parafiniaka, Janusza Rafała Głowackiego, Mariana Panka, Piotra Dłubaka, Małgorzaty Stępiak, Tomka Sętowskiego, Dossi Ugo (Monachium), Stanisława Tabisza, Wojciecha Ćwiertniewicza i wielu innych. Niektóre prace pochodzą z kolekcji Zachęty. Wystawę można oglądać bezpłatnie od niedzieli do czwartku w godzinach 13-19, a w piątek i sobotę 17-20.

W otwarciu Konduktorowi uczestniczyło bardzo wiele osób – sala była wypełniona po brzegi, a ponieważ dopisał piękny letni wieczór, znaczna część gości po obejrzeniu wystawy pozostała na zewnątrz. Działała też niewielka kawiarenka na piętrze (z tej części budynku widać scenę, bo ściana działowa jest przeszklona), można było usiąść pod parasolami na placu przy budynku.

Budynek, którego główną przestrzeń zajmuje sala wystawienniczo-koncertowa zdaje się być stanowczo za mały do akcji, których idee kiełkują wśród tworzących Towarzystwo. Nawet wysłuchanie inauguracyjnego koncertu Ye She było utrudnione – być może z powodu nienajlepszej akustyki sali, ale też jej rozmiarów – była szczelnie wypełniona słuchającymi.

Ruch, światło i dźwięk na zapomnianym końcu ulicy Piłsudskiego wzbudziły



KONDUKTOROWNIA



zainteresowanie jej mieszkańców, niektórzy, (także dzieci) przyciągnęli tu sprzed bram i z podwórek obejrzeć swoje nowe sąsiedztwo.

W projekcie są starania o środki na budowę sali wielofunkcyjnej umożliwiającej m.in. odbiór w komfortowych warunkach 400 widzom bądź

słuchaczom, która miałaby powstać po odizolowaniu dźwiękowym terenu od dworca i ulicy. Powinno się to udać w przeciągu dwóch lat od uzyskania funduszy. W najbliższym czasie konieczna jest renowacja stuletniego muru okalającego teren Konduktorowi.

Działania wokół zorganizowania Towarzystwa trwające od sierpnia 2004 roku mocno ożywiły środowisko artystyczne naszego miasta, a fakt, że przedsięwzięcie zyskało wreszcie stałą lokalizację



– mobilizuje do dalszego rozwoju, zapraszania do współpracy kolejnych twórców i prezentowania ich działań częstochowskiej publiczności. Odnowienie tego od lat straszącego swoim stanem budynku i uczynienie z niego załączka centrum sztuki daje nadzieję na początek pozytywnych przemian tej części miasta. (D.R.)



Prezydent Częstochowy Tadeusz Wrona przedstawia historię pomysłu i trudy realizacji Konduktorowni: od takiego małego - do takiego wielkiego. Na drugim planie: naczelnik Wydziału Kultury UM, Ireneusz Kozera (skromnie, bo urzędowo) i prezes Zachęty, Piotr Głowacki (swobodnie, bo artystycznie)

Fotografie Piotr Dłubak

RZEŹBIARZ

Z Jerzym Kędziorą
rozmawia Marian Panek

Należysz do elity polskich rzeźbiarzy. Uczyłeś się w gdańskiej ASP – czym były dla Ciebie studia, do jakich zachowań, do jakich strategii artystycznych Cię przygotowały?

Uodparniam się na epitety, nie łatwo obrazisz mnie nawet elitami, ale przechodząc do pytania, jest ono dla mnie nieco niewygodne. Nie studiowałem „rzetelnie”, tzn. nie realizowałem precyzyjnie edukacyjnych programów. Bezproblemowo, „lewą ręką” zaliczałem stawiane nam zadania a spełniałem się w innych rewirach studenckiego żywota. Byłem animatorem i uczestniczyłem w bogato wówczas kwitnących pozauczelnianych formach kultury i sposobach wypełniania przerw w nauce: życiu

klubowym, festiwalach sztuki, teatrach, wystawach niekoniecznie przez Uczelnię zakładanych. Taki rodzaj studiowania stwarzał mi swoisty, nieco „partnerski” układ z kadrą. Przez to wymykałem się spod ich ukierunkowań. Ale poczynione obserwacje jakimiś echami wracają do mnie teraz. Wtedy byłem często im niewierny, wątpiący w programy. I choć cenilem studia, szanowałem nawet, stawiałem sobie i kadrze głupawe, sztubackie pytania, próbowałem robić wbrew lub chodzić na skróty. Chciałem je bezproblemowo ukończyć, jednocześnie musiałem wziąć odpowiedzialność za wcześniej założoną rodzinę. Strategii nie obmyślałem.

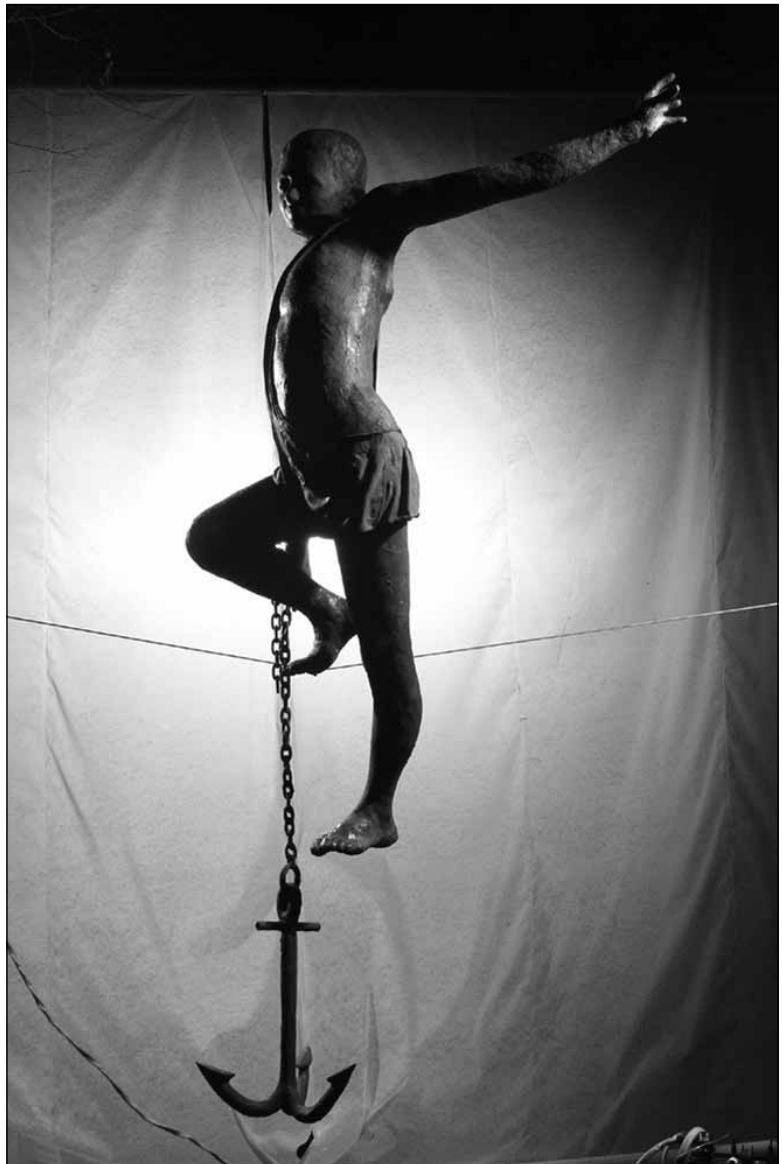
Mnie interesuje bardziej to, czy uczelnia, praca pod kierunkiem profesorów, wykształciły w Tobie wartości przydatne do tej pory w Twojej artystycznej postawie. Czy dokonała się w Tobie jakaś przemiana po ukończeniu szkoły?

Chyba niewielka. W dalszym ciągu jestem dość niezależny, ciekawy nowego. Czy to profesorów



Nowy młodzian wejdzie na linę? Jerzy Kędziora w pracowni (Jasnogórska 23)

zasługa albo uczelni? Nie sędzę. Może to nawet ich porażka. Teraz krzepnę, trochę się nawracami widzę, że korzystając z niektórych rad, uwag, nie waliłbym w otwarte drzwi. Przemiany zachodzą u mnie przez pracę, doskonalenie się, samokształcenie. Podwaliny warsztatowe i rozbudzenie, rozmiłowanie w plastyce dał mi częstochowski „Plastyk” (Miśkiewicz, Łyszczarz, Kłak). Z ASP nie wyniosłem ukształtowanego poglądu na sztukę, przekonania do jakiejś opcji czy ukierunkowania artystycznego, raczej pewną ogłędę branżową, poszerzyłem podstawy warsztatu, odpowiedzialności (nawet za szajbę), poznałem rangę i ważkość poczyniań zawodowych. Studiowałem u prawdziwych herosów rzeźby tamtego okresu, indywidualistów, wymykających się kierunkom, stylom. (St. Horno–Popławski, Fr. Duszeńko, A. Smolana). Żyłem w aurze ich twórczości, przynajmniej się o nią ocierałem - ich prace, pracownie, dorobek, wystawy. Przy tym *balansujące* powstały jak gdyby w opozycji do jednego z mistrzów, Horno–Popławskiego, z pewnej przekory do lansowanej przez niego stylistyki, opcji artystycznej. Ciągnęło mnie zawsze do lżejszego kalibru działań, bardziej rozwichrzonego, nieskrępowanego stylistycznymi kanonami. Poważnie natomiast traktowałem różnego rodzaju imprezy z nimi: biby, uczyty a nawet libacje, tę prawdziwą szkołę życia, chyba w myśl przekonania, że nie ważne co, ale z kim. A tych onych na gdańskiej uczelni było znacznie więcej.



Czym jest dla Ciebie rzeźba w przestrzeni publicznej? Jakie uwarunkowania powinna spełniać? Dlaczego warto zmieniać i modyfikować pejzaż miejski rzeźbą? Częstochowa jest ciągle uboga w architektoniczne „znaki czasu”. Czy masz jakieś nowe propozycje dla naszego miasta?

Rzeźba może przyjąć różnorakie funkcje i je przyjmuje. Przede wszystkim humanizuje otoczenie, pewne przestrzenie organizuje, staje się dominantą lub dopełnieniem jakichś enklaw, jest czynnikiem utożsamienia społecznego a nawet dumy niektórych jego warstw. Najlepiej, żeby przy tym była dobra: oryginalna, interesująca, dobrze, żeby była akceptowana, niech energetyzuje nawet. „Przechodzący przez rzekę” tak się spodobał Bydgoszczanom, że zapragnęli mieć drugą moją rzeźbę. („Przechodzący” ma podobno niewieści

Nim się wyjdzie w świat, trzeba się trochę przyjrzeć sobie

fan-club, jest przyodziewany na zimę, patronuje różnym przedsięwzięciom miejskim, odciąga turystów od konkurencyjnego Torunia, jest perłą miasta). Dostali ruchomego Twardowskiego. Wyczekują kolejnej niepowtarzalnej propozycji. Rzeźby w mieście powinny być w zróżnicowanych skalach emocjonalnych i odniesień. Powinny dawać świadectwo naszych czasów, nas samych przyszłym pokoleniom. Wychodząc z tych uwarunkowań miałbym, i mam, i składałem miastu propozycje, włodarzom i społeczności, w różnych formach i przy różnych okazjach. Wzbudzały nawet, wydaje mi się, nieklamane zainteresowanie, ale niewiele z tego wyniknęło. Jeszcze jakiś pomnik, coś z przesłaniem, nic z czystej radości posiadania strawki duchowej,



miodziku na serce, cieszydelka oka na co dzień. A nawet tych większych: był czas przełomu tysiącleci, wejścia do Unii, dysputy o Alejach, aż się narzucało - i były propozycje, i w dalszym ciągu są. Chociażby „rzeźbiące”, „kędziory”, „idole” częstochowian. „Brama czterech stron świata”, „grające fontanny”, „balansujące” w końcu, przez które miasto mogłoby być lepiej postrzegane, sympatyczniejsze i jeszcze bardziej dobre.

Jakie masz zdanie na temat planów wyburzenia pawilonów „Cepeli”? Może warto przemyśleć koncepcję przebudowy czy dobudowy? Na przykład Konduktorownia została uratowana, odrestaurowana, świetnie będzie służyć wszystkim zainteresowanym działalnością częstochowskiej Zachęty.

Jestem większym zwolennikiem budowania niż burzenia, ale nie widzę nic niewłaściwego w przekształcaniu pewnych obiektów, założeń czy idei, jeśli zmieniamy je w lepszą jakość - ciekawszą, bardziej funkcjonalną. Do Cepelii mam stosunek sentymentalny, ale jeszcze większy do poprzedniego założenia z pawilonami tzw. Terenów Wystawowych, a nie bardzo jestem zorientowany, co się proponuje w to miejsce. Można skorzystać z każdej opcji biorąc pod uwagę, na ile one wzbogacą miasto, uatrakcyjnią ten jego zakątek, poprawią organizację i funkcje miejsca. Stare obiekty stwarzają często wiele ograniczeń, utrzymują jednak pewną więź kulturową, są świadectwem minionych czasów, dorobku miasta. Mamy wiele nieudanych przekształceń, ale gdyby to był obiekt, dla którego miałyby chęć przybyć 1/3

ludzkości, by to obejrzeć, to nie widzę problemu. Największe walory Cepelii: tarasy, patio, otoczenie są źle lub wcale zagospodarowane i użytkowane, zapyziałe, bezbarwne.

Myszę że wzorem Poznania także Częstochowa mogłaby stać się miastem sztuki. Bez wątpienia warto stworzyć taki program. Czy miałbyś jakieś własne propozycje?

Oczywiście że moglibyśmy, ale musimy zdać sobie sprawę z wielkości i potencjału naszego ośrodka. Nie możemy niczego przeskalować, żeby specjalnie się nie ośmieszyć. Jakiej sztuki, przez jakie S? Czy mamy na nią odbiorców, czy ściągniemy innych? Może na razie warto skupić się na jakości działań

w tkance, która istnieje: bazowej, kadrowej, potencjału artystycznego, na sensownej a nawet agresywnej promocji i nawet reklamie tego, czym pochwalić się możemy. Łatkę zawsze zdążą nam przykleić a może i jakiś tytuł nadać. Planować można zawsze. A jeśli chodzi o propozycje – od zaraz przygotowywać odbiorcę i mierzyć wysoko; tam np. powinno się dostrzec rzeźby balansujące (to nie musi być żart). Nie zasklepiac się w cieniu, czy w smudze blasku Jasnej Góry. Jak mamy atuty na Miasto Sztuki? Jak mierzyć się z Poznaniem, Łodzią, Krakowem? Mamy noblistów, milionerów zainteresowanych kulturą, lotnisko w centrum miasta, ośrodek telewizyjny, wolną kubaturę, infrastrukturę komunikacyjną? Jedyna szansa, to unikać sztampy. Robić oryginalnie i więcej niż przeciętnie. Wracając do pytania, zwracałem głowę różnym decydom miejskim, aby korzystając z popularności Solidarności, Wałęsy, Papieża stworzyć u nas w budynku dawnego Polonteksu (drukarni wcześniej) Muzeum Sztuki Współczesnej krajów dawnej Demokracji Ludowej. Miałem deklaracje wybitnych rzeźbiarzy czeskich, słowackich, bułgarskich, NRD-owskich, z kilku republik zza wschodniej granicy o przekazaniu swoich prac do takiej placówki. Ich kumpli. Myszę, że podobnie byłoby i z innymi dziedzinami. Byłaby to jedyna tego typu placówka na świecie. Poważna kolekcja sztuki współczesnej Europy Środkowej. Może jeszcze jest taka szansa. Realizowałem galerie. Niektóre miały już ogólnopolskie uznanie. Częstochowa przerobiła je na drobne biznesiki. Proponowałem Olimpiady Sztuki w powiązaniu z Igrzyskami Olimpijskimi - byłby

bogaty ściąg znaczących person i szeroka promocja imprezy i miasta. Znalazłyby się na nie pieniądze. To jest nisza opuszczona przez polskie środowiska kulturalne, które przestały wysyłać utwory polskich twórców na Olimpiady Sztuki, a odnosili oni w nich znaczące sukcesy.

Masz w swoim dorobku szereg znakomitych realizacji rzeźbiarskich. Spróbuj określić te najważniejsze i powiedzieć z perspektywy czasu, dlaczego je wyróżniłeś. Czy były jakieś przełomy w Twojej twórczości?

Zacznę od końca. Cały czas jestem w przewrotkach, przełomach i załomach nawet. Mam wiele pomysłów, które chciałbym sprawdzić, przetestować. Jeśli uznam, że jakaś idea się sprawdza, nieracjonalnie ją odstawiam i biorę się za inny pomysł, nowe wyzwanie zamiast z poprzedniego wyciskać soki do uwiądu. Oczywiście szybko mnie nudzą. Postrzegany byłem jako ten, dla którego w pewnych dziedzinach nie ma ograniczeń formalno-czasowych, a pewnie zaczynam krzepnąć i coraz częściej myślę, że spowalniam. Pozostaje jednak praca w niedoczasie i nawet jeśli odbiorca, zleceniodawca, jest z niej zadowolony, ja często odczuwam niespełnienie. Mam pragnienie i wolę, wiele ze swych prac, nawet dobrze przyjmowanych, doczytelować, dopieścić. Dlatego do nich nie będę się odwoływał, a raczej do pewnych idei właśnie, cykli, działań. Na pewno mogę się chwalić, powiem za innymi, nawet „szczyścić”, balansującymi a właściwiej ideą balansowania, zeskorupiałymi i rodzajem skorupowej rzeźby otwartej. Kilkoma projektami rozwiązań pomnikowych, pomysłami na teatr plastyczny... Dlatego je wyróżniam, bo są jedynymi w świecie, odkrywczymi, super moimi. Pewnymi odkryciami dla współczesnej rzeźby, świeżymi gierkami. I może jeszcze nie samo dzieło, ale nagrody za nie. Bo czasem zdarza się tak, że konkurs nie pozwala na osiągnięcie super dzieła, ale jak się dowiadujesz, że startuje w nim plejada najpoważniejszych twórców, a inni się przygotowywali i odpuścili, że jest to manifestacja całego

środowiska a twoje dzieło wyprzedziło całą resztę o kilka długości, to możesz mieć powód do satysfakcji. Tak się stało m.in. w papieskim konkursie na rzeźbę, organizowanym przez Warszawską Archidiecezję z hasłem „Otwórzcie drzwi Odkupicielowi”, a mającej ukazać Krzyż w życiu współczesnego człowieka, podobnie było z Wiedeńską Wiktorią.

Powiedz coś więcej o tym teatrze plastycznym...

To już nieco przebrzmiała historia. Poważniej zająłem się nim podczas studiów, a największy oddźwięk w środowisku i mediach, i satysfakcję realizatorską, przyniosła mi przygoda z teatrem „ą”. Tam grupę kolegów, którzy zaprosili mnie do bardziej literackiego, aktorskiego teatru, przekonałem do realizacji przedstawień plastycznych opartych o światło i cień w połączeniu z żywym aktorem, przestrzennym stelażem wśród publiczności, włączaniem jej w akcję, z zastosowaniem innych, specjalnych, para-teatralnych środków wyrazu. Były to zazwyczaj krótkie, nieco groteskowe etiudy, ale na tyle świeże i oryginalne, że na kilku festiwalach dostaliśmy ważniejsze laury, niż takie topowe wówczas teatry publicystyczno-polityczne jak „77” z Łodzi, „8 Dnia” z Poznania, „Gong” czy teatr Mądzika z Lublina. Niektóre gierki wtedy wypracowane próbuję przenieść do aranżacji wystaw, które czasem przyjmują formę



Balansujące akrobacje pod księżycem

plastycznego spektaklu. Jak już jesteśmy przy teatrze, to powiem Ci o mniej znanym epizodzie młodego teatru w Częstochowie, jakim był teatr lalkowy Jurka Dudy-Gracza, ze mną, Michalikami, Jankiem Chruścickim i kilkoma jeszcze kolegami z „Plastyka”. Ale to już inna bajka..

W historii sztuki jest wielu wspaniałych rzeźbiarzy i jeszcze więcej genialnych dzieł. Czy podejmowałeś kiedykolwiek artystyczny dialog z jakimś twórcą i jego realizacjami?

Tworząc, wystawiając, chcesz czy nie chcesz, prowadzisz ten dialog; dopowiadasz, sprzeczasz się, negocjujesz formy, idee, sformułowania. Nie mam, lub nie zdaję sobie sprawy, że mam wybranego dyskutanta, adwersarza czy współbrzmiacego. Są różne fazy i rodzaje tego dialogu, różny stopień napięcia, ale zupełnie przypadkowy bez programowego założenia. Wystarczy, że bierzesz udział w konkursie, wystawie czy innym wystąpieniu, a już twoją wypowiedź będą konfrontowali z innymi. Uczestniczysz w grupie twórczej, piszesz scenariusz wystawy, jesteś zbliżony do jakiejś formacji, stylu, kierunku, musisz się opowiedzieć, ale dla mnie to nie jest w tej chwili ważne, nie zaprzęgam sobie tym głowy, nie umiem Ci krótko i precyzyjnie odpowiedzieć

Jakie dzieła z kręgu dziedziny rzeźby chcesz czy mógłbyś wyróżnić jako najważniejsze, niezwykle czy przełomowe? Jak szerokie może być myślenie rzeźbą?

Są takie zapewne. Ja nie jestem mentalnie, intelektualnie przygotowany do takich rozstrzygnięć. Na różnych etapach mojego życia fascynowały mnie różne opcje artystyczne, różna optyka spostrzeżeń. Jeśli miałbym teraz, bez zastanawiania, pokazać te kamienie milowe (nawet jeśli są z brązu), to muszą to być dzieła z klasyki czy hellenistyki greckiej, coś z Michała Anioła, z całokształtu, a we współczesności, już nieco przebrzmiałej, rzeźbiarstwo angielskie lat 50. ubiegłego wieku takich twórców jak Moore, Hepvort, Ermitage, Chedwick. Znalazłbym pewnie jeszcze kilku twórców, ale widzisz, to jakaś klasyka z pewną dawką ekspresji. To dla mnie i być może dla pewnych kręgów zainteresowanych sztuką, a dla ludzkości? Narodów? Społeczności? Brukselczyków? (tu chyba wiem, siusiąjący gówniarz) Epok? Stylów? Opcji? Zadajesz mi za obszernie pytania, na każde by trzeba jakąś rozprawkę wysmażyć. Jak śpiewa pieśniarz – nie mam jasności w temacie twórczości, i do niej miłości. Jestem wielofacetowy (to z technologii kamieni szlachetnych - kształciłem się na Bizuterii - drobne płaszczyzny szlifowanych kamieni,

kryształów) biorę, przetwarzam, odbijam, tworzę nową jakość, mam nadzieję wartościową, efektowną, ale o konteksty mi trudniej, o cały ten ideowy anturaż. A jak szerokie może być myślenie rzeźbą? Bardzo. Zauważ, że złożona na pół bibułkowa serwetka to już płaskorzeźba (np. Szańkowski) i opakowane wybrzeże wyspy czy pasma górskiego (Christo) podobno też, i bogato profilowany łebek od szpilki z kości słoniowej, i góry przekształcone w portrety amerykańskich prezydentów czy indiańskiego wodza również są rzeźbami. A tu mówimy jedynie o skali, pewnie jednym z bardziej marginalnych zagadnień tej kunsztownej profesji. Ciągnąć to dalej? Nie. Mówiłem ci – nie jestem historykiem sztuki, teoretykiem. Będę sadził banały, oczywistości. Nie śledzę uważnie artystycznych wydarzeń, nie zgłębiam prądów, nie wyłapuję nawet osobowości.

Czy interesowały Cię korelacje i związki między rzeźbą i malarstwem? Może przytoczysz kilka przykładów.

Tak, i nie chcę uciekać od odpowiedzi, ale nie wiem, jak to w miarę sensownie i krótko ująć. Każda rzeźba ma swój kolor, często koloryt, a czasem jest w ogóle barwna. I to może mogłoby wyczerpywać temat. Ale jeśli twórca tego tak nie zakładał, to może on jest istotny gdzie indziej. Korelacje? Czy są nimi wspólne tematy, styl epoki, ekspresja twórcza? Pewnie tak, tylko że malarstwo powinno być z reguły płaskie i barwne, a rzeźba przestrzenna i monochromatyczna. Ale do którego momentu? Weź obraz Malewicza z białym na białym i płaskorzeźbę Szańkowskiego, tę z bibułki, albo obraz Sterna czy niektóre twoje kreacje z wmontowywanymi w obraz przedmiotami. Może jednak nie brnijmy... Świadome igraszki z barwą w bryle, w przestrzeni i na płaszczyźnie, były przeze mnie podejmowane. W świecie współczesnej plastyki, sztuki w ogóle, zacierających się granic poszczególnych dziedzin, przenikających technik, wielości mediów w jednym założeniu, aranżacje moich niektórych wystaw wypełniają to zagadnienie, ale można by je poszerzyć jeszcze do formy barwnego spektaklu, malarskiego widowiska, psychodeliczno-kinetycznej barwnej kompozycji totalnej. Chcę jedynie zaznaczyć, że w wielu moich przedsięwzięciach rzeźbiarskich znaczące, planowane miejsce zajmuje kolor. Jak na razie, najdalej z tak traktowaną materią pokazałem się w Muzeum Śląskim w Katowicach, gdzie pokazałem groteskę transformacji „Balansując”. Muzeum Śląskie dawało takie możliwości, szczególnie że prowadzi bogaty, najciekawszy w kraju dział polskiej scenografii teatralnej.

Ostatnio brałeś udział w kilku prestiżowych wystawach. Jaka była ich tematyka? Jakie realizacje tam prezentowałeś?

Jeśli impreza nie narzuca tematu, lub nie zawęży się do wybranych technik, to spektrum przedstawię jest bardzo rozległe. Liczy się wtedy bardziej forma, osobowość twórcza niż temat. Muszę jednak stwierdzić, że coraz częściej, szczególnie w plastyce przestrzennej, chociaż nie tylko, szanowane jest klasyczne rzemiosło, wirtuozeria realizatorska i realne obrazowanie. Często tematem prac jest człowiek. Być może ja na takie jestem zapraszany i dobrze tam się czuję ze swoimi balansującymi. Wiele jeszcze znaczących, głośnych wystaw pokazuje to, co człowiek zdziałał, najczęściej czym zagraża sobie i światu, ten śmietnik współczesności w postaci pseudofilozoficznych rozprawek zorganizowanych w instalacje. Wzbudza to już coraz mniejsze zainteresowanie, nudzi, stając się powoli dinozaurem, hybrydą współczesnej plastyki. Takie trochę dania na mikrofalę, mało wyraziste, odgrzewane...

Jakie to były imprezy, wystawy, sympozja?

Indywidualnym pokazem, z dużą pompą na Piotrkowskiej, otwierałem m.in. Międzynarodowy Festiwal Dialogu 4 Kultur w Łodzi. Podobnie było na największym w naszej części Europy festiwalu teatralnym w czeskim Hradcu Kralove. I mimo, że była to tylko „trupa” towarzysząca, uznawano ją, moje rzeźby i mnie, za gwiazdy tej imprezy. Z czysto plastycznych, to najciekawsze, najbardziej prestiżowe były chyba uczestnictwa w Światowym Sympozjum Rzeźbiarskim w St. Margarethen w Austrii, gdzie wszystkich uczestników wciągnąłem w program „Interart złączeni słońcem”, na „Rzeźbie i obiekcie”, wiodącej imprezie kulturalnego lata słowackiej stolicy Bratysławy i „Oisterwijk sculptuur” w Holandii. Moje prace wystawiano w centrum wydarzeń i trafiały na eksponowane miejsca materiałów promocyjnych tych imprez. Imprezy te, mimo że dość jednostronne, potrzebujące nieprzypadkowego widza, potrafiły ściągnąć ich nawet setki tysięcy, a w szpicie byli podobno członkowie dworu panującego (w Holandii), szeroki korpus dyplomatyczny (w Bratysławie) na pewno. Kilka prac tam prezentowanych trafiło do międzynarodowych kolekcji. Powiem jeszcze bardziej nieskromnie, moje wystawy, samodzielne wystąpienia zaczynają wchodzić w sferę *wydarzeń*. Niemieckie kliniki Czerwonego Krzyża urządziły taką na sumowanie 10-lecia przekształceń i łączenia się dwóch systemów ratownictwa w jednym

połączonym Berlinie. Za nią poszły inne. W muzeum Pirenejów obejrzało ją 80 tys. widzów.

Opowiedz o swoich artystycznych planach i pracach, które obecnie realizujesz

Mam mnóstwo pomysłów, a które i w jakiej kolejności wejdą w fazę realizacji, trudno przewidzieć. Nie układam ich wg wagi, a raczej wg humorków (ostatni taki humorek: tydzień w szpitalu plus drugi obserwowanego wyciszenia). Z balansujących chciałbym zrealizować budowniczych drapaczy chmur dla Nowego Jorku, trupę aktorów z teatru dell a' rte dla Wenecji, albo budowniczych katedr gotyckich. Przygotowuję się do udziału w festiwalu teatralnym w Zabrze i wystawie w Lublinie (ze Starowieyskim i Fałatem). Chcę wziąć udział w Praskiej Konfrontacji Rzeźbiarskiej i Osterwijk Sculptuur 2008. Rozpatrywane są moje pokazy w Ziemi Świętej, Hamburgu i Birmingham. Chcę wyraziściej zaistnieć na Jurze. Mam na to kilka propozycji, z których niejedną można było zobaczyć na wystawie „?ad acta”, latem w Miejskiej Galerii Sztuki. Muszę przystosowywać PGR Poczesna do upraw i życia. Poza tym... nieważne zresztą. Coś się robi, coś wypadnie, ważne że się kręci, a i zapeszać nie trzeba...

No właśnie, zorganizowałeś sobie dom i pracownię w Poczesnej. Czy daje Ci to nowe możliwości i trochę inną perspektywę na to wszystko, co związane było z Częstochową?

Próbuję regulować optykę na nowe kręgi odbiorców, nowe działania, współtwórców. Powinien poprawiać mi się komfort pracy. Jestem bardziej na swoim, rodzinnym. Pewne prace adaptacyjne, przeróbki traktuję jako docelowe, stałe, trwałe, własne. Mam plany „profesjonalizacji” działań związanych z promocją i wnikaniem w rynek sztuki ze swoją twórczością, posterowania nią trochę. Stworzyła mi się szansa pewnych wyborów. Do tej pory wszystko toczy się naturalnym biegiem, od przypadku do przypadku, od zdarzenia do wydarzenia. Wylawia się mnie z poczty pantoflowej, z nasłuchu. Chcę się bardziej otworzyć na świat. Stawiam pierwsze kroki w międzynarodowym stowarzyszeniu twórców i entuzjastów rzeźby „Network Sculptuur”. Do niedawna Częstochowa była moim punktem odniesienia, teraz schodzi na jedną z orbit, na razie jeszcze tę najbliższą, najważniejszą, ale mam sporo pokus, które chciałyby wcisnąć się przed nią. Pożyjemy, zobaczymy. Ale może i Częstochowa mogłaby się trochę starać, kusić?

Dziękuję za rozmowę.

Truchcikiem po galeriach

Sekcja Pastelistów Okręgu ZPAP w Częstochowie zaprezentowała się na wystawie w siedzibie OPK Gaude Mater. Popularność pasteli wciąż „odkrywanej” jako techniki malarskiej w częstochowskim środowisku plastycznej jest zadziwiająca. Tak więc, kto mógł – to próbował pokazać swój „lwi pazur” pastelisty. Niestety, wystawa ta nie była najwyższych lotów. Ciekawe prace kilku osób, np.: Marii Ogłazy, Alicji Nadolskiej czy Cecylii Szerszeń, nie wpłynęły zasadniczo na całkowity obraz wystawy. Wciąż niedościgłym mistrzem pasteli w naszym środowisku pozostaje Marian Michalik, którego twórczość niezmiennie frapuje fantastycznym warsztatem, jak i magią wyobrażeń rzeczywistości w martwej naturze i pejzażu. Na wernisażu zaprezentowano interesujący film Jacka Sztuki o plenerze i wysiłkach pastelistów.

W przestrzeniach Galerii Restauracji Stacher czak w centrum handlowym Schott przy ulicy Kościuszki można zobaczyć bardzo interesującą wystawę fotografików zrzeszonych w **Jurajskim Fotoklubie Rzeczypospolitej**, zorganizowaną w związku z jubileuszem 5-lecia działalności tego artystycznego stowarzyszenia. Ekspozycję przygotowano starannie, jak również edytorsko bardzo dobrze wydany na tę okoliczność plakat i katalog. Wyróżniają się prace znanych już w Polsce ze swoich osiągnięć w dziedzinie fotografii Dariusza Cierpiąła, Sławomira Jodłowskiego, Mariusza Kniei, Małgorzaty Kozakowskiej, Janusza Mielczarka, Krzysztofa Muskalskiego, Janusza Stępnia. Działalność Fotoklubu zaprezentował jego twórca i honorowy prezes Janusz Mielczarek. Licznie zgromadzona na wernisażu publiczność nie szczędziła pochwał przedstawionym fotogramom. Otwarcie wystawy zaszczylił Prezydent Miasta Częstochowy Tadeusz Wrona, prezentacja odbyła się w ramach XV Dni Częstochowy.

W salach Galerii OPK „Gaude Mater” zobaczyliśmy II międzynarodową wystawę internetową prac malarskich, graficznych i rysunkowych pt. „**Artpe-riscope.com**”, zorganizowaną przez firmę Internet Plus. Pomysłodawcą przesyłania prac plastycznych z całego świata przez internet, by później te najlepsze, wybrane przez jury i już wydrukowane, zaprezentować na wystawie, jest częstochowski artysta plastyk Bartosz Frączek. Poziom tegorocznego kolejnego konkursu był bardzo wysoki, co dobrze wróży następnym edycjom tej imprezy. W konkursie wzięło udział 472 artystów z całego świata, jury postanowiło zakwalifikować prace 102 autorów. Grand Prix i 1000 dolarów przyznano Sarah Harvey z Wielkiej Brytanii. Laureatami pierwszej nagrody zostali: Branka Moser (Szwajcaria), Wołodimir Bowkun (Ukraina), Don Gurewitz (USA), Benjamin Vasserman (Estonia), Antonio Carretero (Hiszpania). Drugą nagrodę otrzymali: António Amen (Portugalia), Eva Gyorffy (Holandia), Silvano Battimiello (Włochy), Geraldine Fasentieux (Francja) i Frank Olesen (Dania). Trzecią nagrodę otrzymali: Monika Macken (Belgia), Ursina Gabriela Roesch (Szwajcaria), Rolandas Kiaulevičius (Litwa), Laurens Hensbergen (Holandia), Michael Berry (Australia) i Maciej Zabawa (Polska).

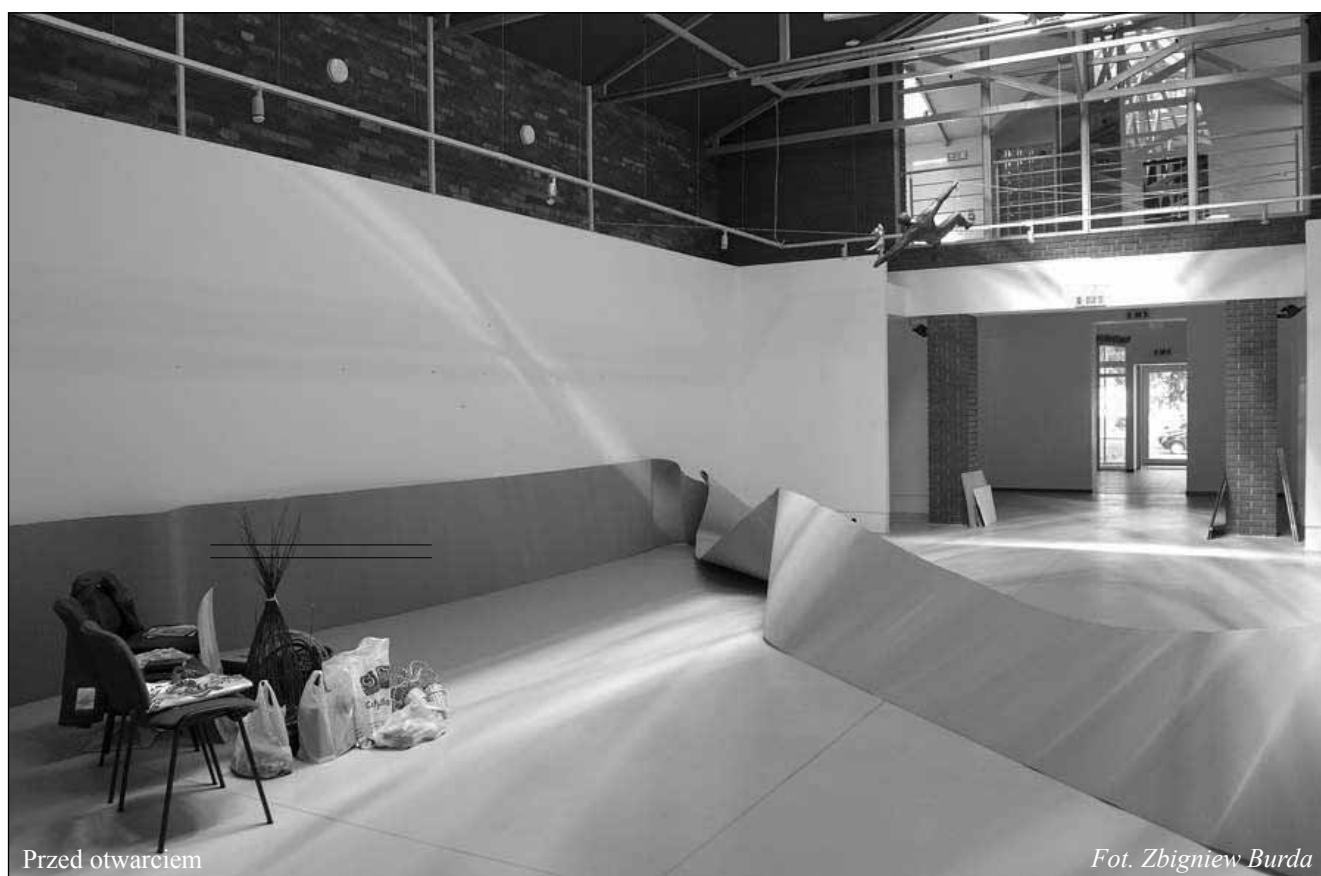


Konduktorownia. Po wielu miesiącach oczekiwań na zakończenie remontu i po podpisaniu umowy z UM Częstochowy, Regionalne Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych zainauguowało w swojej nowej siedzibie przy ul. Piłsudskiego 34/36 działalność artystyczną, którą prowadzi już od 2005 roku (46 imprez w 17 miejscach, 300 wykonawców). Pierwsza wystawa w Konduktorowni pt. „Kolaż urodzinowy” zaprezentowała sześćdziesięciu twórców z Polski, Niemiec, Szwecji, Wielkiej Brytanii i USA. Najważniejszą dziedziną sztuki prezentowanej na tej ekspozycji było malarstwo, które zdominowało prace rzeźbiarskie, rysunkowe czy fotograficzne. Pierwszoplanową gwiazdą tego artystycznego wydarzenia, które ściągnęło trzy stacje telewizyjne i szereg prasowych redakcji, był wnuk jednego z najwybitniejszych twórców surrealizmu Giorgio de Chirico, Jacob. Jego twórczość, sięgająca korzeniami do sztuki dadaistów i surrealistów oraz francuskiego Nowego Realizmu, była po raz pierwszy pokazana w Polsce. Jacob de Chirico wystawiał i brał udział w wielu prestiżowych projektach artystycznych w gronie czołówki światowej współczesnej awangardy, m.in. prezentował swoje prace z francuskimi artystami takimi jak Niki de Saint Phalle czy Ben Voutier.

Wystawa „**Wędrowcy**”, której pomysłodawcą i kuratorem był Władysław Ratusiński, trwała od 3 do 26 sierpnia 2007 w MGS w Częstochowie. Zbiegła się tematycznie z okresem pielgrzymowania do Jasnogórskiego Sanktuarium Matki Bożej. Na wystawie zaprezentowano malarstwo, rysunek, grafikę, rzeźbę, tkaninę, obiekty, fotografię oraz projekcję video. W wystawie uczestniczyło 35 artystów, również z innych miast i zagranicy. Wyróżniły się prace Włodzimierza Kulej, Mariana Kepińskiego, Aleksandra Markowskiego, Stanisława Mazusia. Przy przygotowaniu wystawy współpracowali Jacek Sztuka i Tomasz Man.



Wojciech Kotlewski (Łódź) - Droga Wawelska



Przed otwarciem

Fot. Zbigniew Burda



Fot. Zbigniew Burda

„Fotografie 3 – w poszukiwaniu różnych stanów piękna”, to kolejna indywidualna wystawa **Janusza Mielczarka**, pokazująca portrety osób z częstochowskiego środowiska kulturalnego lub stąd się wywodzące. Tym razem autor zaprezentował też portrety znanych fotografików, kolegów po fachu. Wzorem poprzednich wystaw z roku 1996 i 2002 artysta przygotował kilka fotograficznych instalacji, które urozmaiciły przestrzeń ekspozycyjną prezentacji. Wystawa Janusza Mielczarka, człowieka wielu artystycznych profesji, została zorganizowana w ramach III Częstochowskich Spotkań z Fotografiami w MGS w Częstochowie. Interesującemu indywidualnemu pokazowi różnych aspektów i poszukiwań w dziedzinie fotografii towarzyszy dobrze wydany katalog z wieloma świetnymi i znaczącymi w polskiej fotografii zdjęciami.

Tadeusz Boruta po raz kolejny zaprezentował swoją twórczość malarską w naszej MGS. Wielkoformatowe płótna jak zwykle zaciekawiają swoją symboliką. Są opowieścią o odwiecznym pierwotnym uwikłaniu człowieka w cielesność, nagość, zmysłowość ciała,

któremu przeciwstawiony jest świat idei traktatów, zapisów staro- i nowotestamentowych, apokryfów i związków pomiędzy naturą a kulturą. Artysta pokazuje-teatralizuje, buduje kompozycyjną scenę dla tych związków, wśród materii przesłoniętej i kurtylny, które trzeba własnoręcznie wyobrazeniowo odsłonić.

„**Arche**” to tytuł wystawy grafiki i rysunki Krystyny Szwejkowskiej, dyrektor Instytutu Plastyki Akademii Jana Długosza w Częstochowie. Artystka realizuje przede wszystkim odbitki litograficzne i prawie całą swoją twórczością odwołuje się do różnych postaci kamienia, który stał się jakby osią i modelem jej plastycznych wyobrażeń. Ten bardzo wyrazisty i syntetyczny sposób obrazowania przywołuje różnorodne symboliczne skojarzenia. Artystka poszukuje własnego „**Arche**”. W dużych rysunkowych, lecz i zarazem malarskich kompozycjach kamienne – jakby zrodzone z kamienia – postaci kobiety i mężczyzny ewokują różnorodne treści, uczucia smutku, osamotnienia, cierpienia, upadku czy zniewolenia. Wernisaż wystawy odbył się 14 września w MGS w Częstochowie.

Marian Panek

Dawna przemysłowa Częstochowa

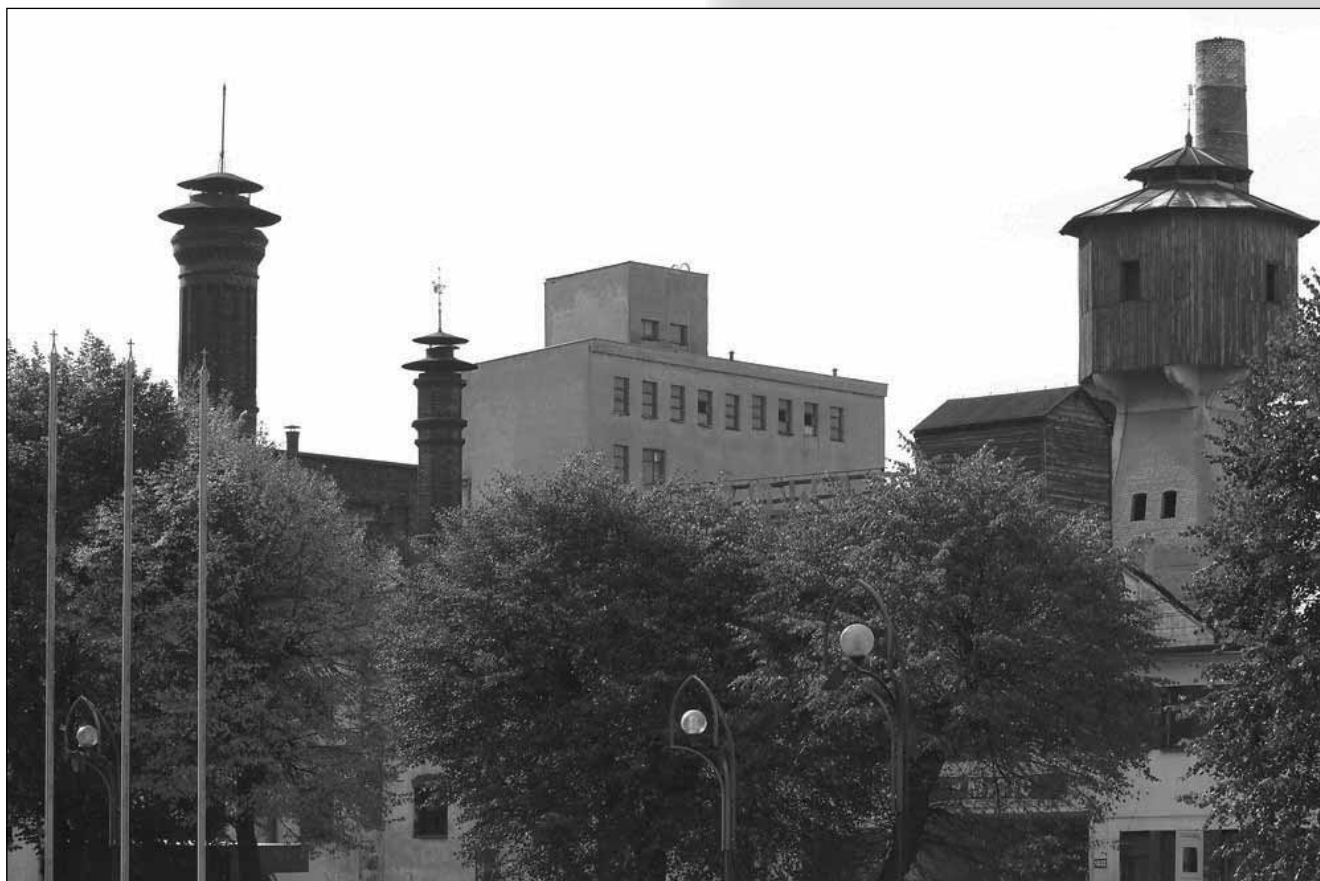
Trzeba wołać o ratowanie zabytków przemysłowych Częstochowy. Gdzie indziej potrafią wykorzystać te wartościowe pod względem historycznym i architektonicznym obiekty – np. do celów kulturalnych. Poznań ze Starym Browarem, Warszawa, Łódź z manufakturą. Koncerty Festiwalu Sacrum – Profanum w Krakowie też odbywają się w dawnej fabryce. Już o miastach Zachodu nie wspominając.

Browar nie może dłużej czekać. Wyposażenie się zniszczy i rozproszy (kadzie!), a same budowle zawalą. Podobnie rzecz się ma z pięknym zespołem budynków Elanexu.

Władysław Ratusiński



Dawny Elanex. Fot. Z archiwum Antoniego Sawickiego



Dawny browar. Fot. Zbigniew Burda.

O sobie

Rozmowa z Agatą Ślęzyk – utalentowaną częstochowianką z urodzenia, artystką krakowską - z wyboru, śpiewającą członkinią zespołu Piwnicy pod Baranami - ze szczęśliwego splotu wydarzeń

Dominika Radkowska: *Podobno śpiewasz od dziecka. Przy jakiej okazji to się narodziło?*

Agata Ślęzyk: Tak naprawdę nie wiem, kiedy to się zaczęło, ale jako dziecko rzeczywiście lubiłam bawić się z innymi dziećmi w zespół muzyczny. Braliśmy jakieś garnki, pokrywki, plastikową gitarę. I tak się składało, że ja zawsze śpiewałam w tym zespole. Jako dorastająca osoba trochę zapomniałam o tym, że tak lubię śpiewać, chyba prawie każdy nastolatek przechodzi okres takiego wycofania, zawstydzienia. A później to wróciło do mnie.

Uczyłaś się gry na instrumencie?

Cierpliwości starczyło mi na tyle, żeby wytrzymać rok w ognisku muzycznym i kilka miesięcy w szkole muzycznej. Jednak, przy moim temperamentie i zamiłowaniach sportowych, nie byłam w stanie poświęcić wiele czasu i uwagi grze na gitarze. Potrafię jedynie, lepiej czy gorzej, akompaniować sobie na tym instrumencie.

Jaka jest Twoja rodzina? Jak odnosi się do Twoich działań twórczych? Czy „bakcyła” muzycznego wyniosłaś z domu?

W mojej najbliższej rodzinie nie było muzyków. Rodzice bardzo mnie wspierają, a moje bycie w Krakowie na początku byłoby zupełnie niemożliwe, gdyby nie mecenat rodziców.

Jak zostałaś zwerbowana do „Piwnicy pod Baranami”?

Do Krakowa mnie przyciągało etapami. Najpierw był Festiwal Piosenki Studenckiej, w którym uczestniczyłam kilka razy. Później kilkakrotnie przyjeżdżałam tu, żeby zaśpiewać swoje piosenki i spotkać się ze znajomymi. Do Krakowa zbliżyło mnie również to, że kiedy po kilku latach poszukiwań tekstów do piosenek wreszcie je odnalazłam, okazało się, że ich autorką jest młoda krakowska poetka Katarzyna Grzesiak. W tym czasie kilka razy do roku przyjeżdżałam do Piwnicy, gdzie pozytywnie

było odbierane to, co robię. W końcu zdecydowałam się przeprowadzić do Krakowa, coraz częściej bywałam też w Piwnicy i nagle – zostałam w tym zespole.

Czy oprócz poezji Katarzyny Grzesiak śpiewasz teksty innych poetów?

Przyznam, że nie odnalazłam drugiego takiego poety, którego wiersze byłyby mi tak bliskie, jak poezja Kaśki. W większości śpiewam jej teksty i własne, choć również pojawiają się wiersze Bolesława Leśmiana, Haliny Poświatowskiej, a ostatnio sporo tekstów Bonifacego Dymarczyka.

Potrafiłabyś określić, co Cię ujęło w tych napotkanych tekstach Katarzyny Grzesiak?

Myślę, że jest to po pierwsze tematyka, po drugie język, jakim się ona posługuje. Pamiętam, że jeden z pierw-



Fot. A. Sędek

szych tekstów Kasi, który mnie urzekł, mówił o pożegnaniu. Sama przez kilka miesięcy starałam się napisać dokładnie o tym, co przeczytałam u niej.

A czy vice versa – inni artyści wykonują Twoje teksty? Jesteś na tyle twórcza w poezji, żeby obdzielić nią różnych wykonawców?

Ja bardzo cierpię z tego powodu, że nawet samej siebie nie jestem w stanie obdzielić tym, co piszę – w tym stopniu w jakim bym chciała. Zawsze bardzo długo zmagam się ze słowami, zanim uda mi się wyklarować jakiś temat. Tak więc nie obdarowuję innych moimi tekstami, a też nikt się nie upomina (*śmiech*).

Występują z Tobą Tomasz Kmiecik i Michał Półtorak. Kto jeszcze wchodzi w skład zespołu, który Ci akompaniuje?

Przez dwanaście lat współpracy z Tomkiem podejmowaliśmy próby grania z większym zespołem, ale tak się układało, że żaden z tych składów nie przetrwał dłużej niż dwa, trzy koncerty. Może jest to spowodowane tym, że częstotliwość grania przeze mnie takich dużych koncertów jest bardzo niewielka. Najczęściej występujący ze mną i najbardziej pewny skład akompaniujący to właśnie Tomek Kmiecik na instrumentach klawiszowych i Michał Półtorak na skrzypcach.

Podbiliście Kraków w duecie z Tomkiem, czy ktoś z Was był tu pierwszy?

W zespole „piwnicznym” pojawiłam się przed Tomkiem, ale on od samego początku bardzo mnie wspierał – przyjeżdżał z Częstochowy, żeby mi akompaniować. Później sam zdecydował się dołączyć do kabaretu.

Jak na Twoją osobowość wpływają ludzie, z którymi się stykasz?

Osób naprawdę wpływających na to, co robię, jest bardzo niewiele, bo – choć to banalne, co powiem, takie nietuzinkowe osoby spotyka się w życiu bardzo rzadko. Osobą, która bardzo zmieniła moje spojrzenie na piosenkę i na siebie samą, jest Tomek Kmiecik. Również dużym przełomem było dla mnie odnalezienie wierszy Katarzyny Grzesiak. Na pewno też sam fakt bycia na „piwnicznej” scenie bardzo mocno wpłynął na moje artystyczne poszukiwania i przemyślenia na temat samej siebie. Ogromne znaczenie miało dla mnie przeprowadzenie się do Krakowa. Przyjechałam z Częstochowy, w której nie ma miejsca życziwego dla takiej piosenki. Staraliśmy się wcześniej z Tomaszem, zwłaszcza on, przez ponad dwa lata, takie miejsce w naszym mieście stworzyć.

Wiele było porównań i zapewne dyskusji na temat: Piwnica dawniej i dziś, to znaczy - za czasów Piotra Skrzyneckiego i po jego śmierci. Czy można powiedzieć, że jest to nadal wspólnota, czy każdy artysta funkcjonuje osobno i tylko razem występujecie?

Trudno jest mi powiedzieć, czy zawsze tak było. Obserwuję w Piwnicy wielu artystów, którzy są z nią związani od lat kilkudziesięciu i ci ludzie są tak odrębnymi osobowościami, mają tak różne upodobania estetyczne i światopoglądy, że my tak naprawdę nie możemy chyba stanowić typowego zespołu. I to mi się ogromnie podoba w Piwnicy, że każdy wychodzi na scenę, mówi, śpiewa, biorąc odpowiedzialność za siebie. To nie są reżyserowane, tematyczne programy. Chyba na tym polega niezwykłość tego miejsca i siła, że jest to – jak ktoś kiedyś powiedział – „zbiór osobowości”, a nie stricte „zespół” realizujący określone projekty.

Ale są między Wami przyjaźnie, spotkania poza występami?

Ja nie tylko w soboty, kiedy jest kabaret, bywam w Piwnicy i jest część artystów, którzy, podobnie jak ja, lubią zajrzeć tu w tygodniu wieczorkiem.

Zaklimatyzowałaś się w Krakowie? Jest to „Twoje” miejsce?

Tak, bardzo się cieszę, że udało mi się tutaj zatrzymać i jakimś cudem mieszkam już pięć lat. To miasto jest mi bardzo bliskie i czuję, że (nie chcę używać wielkich słów) tutaj jestem szczęśliwa. A Częstochowę lubię odwiedzać.

Jak z perspektywy tak bogatego kulturowo miasta wygląda nasza rodzinna Częstochowa?

Nie chciałabym, żeby to tak gorzko zabrzmiało, lecz przyznam, że wygląda smutno. Oprócz tych dwóch lat, kiedy istniała scena „Błazen”, kiedy nie mogłam się nadziwić, że w moim rodzinnym mieście mogę posłuchać i spotkać się z artystami, których nikt wcześniej tu nie zapraszał, mimo tego iż są wyjątkowi. Wtedy był ten niezwykły okres mojego artystycznego bycia w Częstochowie. A resztę czasu wspominam jako impas, kompletną niemoc działania w mieście.

Kiedy zostałaś artystką krakowską – intensywność, tempo Twojego życia zwiększyły się?

Właśnie tutaj nie można użyć słowa „tempo”, bo w Krakowie jednak się żyje powoli. Uwielbiam to powiedzenie Piotra Skrzyneckiego, że „pośpiech poniżej”. To jest cudowne – to celebrowanie kawy na Rynku, w słoneczku, tak, jak to teraz czynimy. To, że jest na to czas, że możemy w Piwnicy po kabarecie zostać i porozmawiać. A czas przy tym tak szybko płynie, że nie wiemy kiedy mijają trzy, cztery godziny, wtem orientujemy się, że przegadaliśmy jakieś pięć godzin po kabarecie.

Czy pod kątem wydarzeń artystycznych Twoje życie jest tutaj bardzo wypełnione?

Kraków jest miejscem unikalnym na skalę światową, dla artysty jest to właściwie raj. Ale Piwnica, o ile jest niezwykła i nietuzinkowa, o tyle nie jest zjawiskiem

mocno istniejącym medialnie. Nie ma więc wokół nas szczególnego rozgłosu, choć, na szczęście, publiczność dopisuje.

Czy więc nie czujesz się popularna?

Nie. To nie jest słowo, które mnie określa.

Twoje nazwisko pojawia się wśród czołówki artystów piosenki poetyckiej, ale być może nisza ludzi interesujących się tym gatunkiem jest zbyt płytka do uzyskania popularności.

Wydaje mi się, że każda osoba śpiewająca powinna kiedyś wydać płytę. A działanie w tym rodzaju piosenki znajduje się poza głównym obiegiem. „Jest się” tylko wtedy, kiedy jest się na scenie, z publicznością – i to jest piękne. Ale mam świadomość, że wydanie płyty jest niezbędne do tego, żeby więcej niż 100 osób mieszczących się w Piwnicy, usłyszało kiedyś moje piosenki.

Osoby znające Twój głos i talent czekają z niecierpliwością na tę płytę. Przygotowujesz się do tego kroku?

Wierzę, że tak jest. Kilka osób nawet mi powiedziało, że z przyjemnością posłuchałoby mojej płyty (*śmiech*).

Dlaczego nie została dotąd wydana? Co stoi na przeszkodzie?

Przeszkody są banalne. Trzeba mieć zmysł organizacyjny, żeby to dopiąć. Cały czas się staram, ale nie mam zupełnie do tego talentu, więc zadanie rozciąga się w latach. Ale wierzę, że się uda.

Trudno jest znaleźć wydawcę takiej mało popularnej muzyki?

To też jest trudne, ale najtrudniejsza jest jednak kwestia finansowa. Żeby rozpocząć proces nagrywania, trzeba mieć środki. Staram się o mecenat, poszukuję środków, na razie jednak są to wciąż tylko poszukiwania – z nadzieją, że kiedyś pojawią się takie możliwości.

Bycie w zespole Piwnicy pod Baranami jest niewątpliwie wielkim sukcesem, ale występujesz też indywidualnie. Czy, kiedy jesteś przedstawiana jako artystka Piwnicy, jest to bardziej nobilitujące, czy szufladkujące?

I to i to. Na pewno jest to nobilitujące, a – że jest się wtedy przyporządkowanym pewnej estetyce – to jest druga sprawa. Jednak Piwnica wydaje mi się tak pojemna, jeżeli chodzi o możliwość wypowiedzi, że to nie jest krzywdząca szufladka.

Wystąpiłaś w tym roku na Przeglądzie Kabaretów PAKA. Z jakim repertuarem?

Czasem przy okazji prywatnych imprez w Piwnicy

spotykamy się, żeby się pobawić. Wyglupiamy się wtedy, prezentując jakiś lżejszy repertuar. Śpiewając takie piosenki wcale nie myślałam, że będę je wykonywała w swoim programie, ale były świetnie przyjmowane. Zaryzykowałam więc wykonywanie ich w programie piwnicznym, a później też w swoim recitalu. Nazbierało się ich tyle, że stwierdziliśmy z Tomkiem: do Rotundy mamy blisko, to czemu nie zaśpiewać ich na PACE? A z pamiętanych przeze mnie występów w Rotundzie – jest tam zazwyczaj fantastyczna publiczność. I na tym właśnie polegał mój program kabaretowy.

Kogo słuchasz?

Interesuje mnie bardzo to, co robią muzycy w Polsce. Lubię Kasię Nosowską, Renatę Przemyk, szkoda, że Edyta Bartosiewicz ucichła ostatnio, słucham Wojtka Waglewskiego. Największą przyjemność sprawia mi słuchanie ludzi, którzy mówią mi coś o sobie. Ale zdaję sobie sprawę z tego, że w naszym kraju takich artystów się nie zauważa i nie promuje, a znam ich wielu.

Jaki jest Twój pomysł na płytę? Co ma się na niej znaleźć: znane piosenki, czy utwory premierowe?

Mam kilka pomysłów. Najbardziej zależałoby mi na płycie złożonej z tych najbardziej bliskich mi tekstów. Chciałabym, żeby to była płyta osobista i moja. Marzy mi się również nagranie satyrycznych piosenek. Nie mam natomiast takich utworów, które chowam specjalnie, żeby ujrzały światło dzienne dopiero na płycie. Wszyscy, którzy kiedykolwiek byli na moim recitalu, te piosenki słyszeli. Jednak na płycie pewnie ich brzmienie byłoby nowe.

Co będzie się działo u Ciebie w najbliższym czasie?

We wrześniu ruszamy z Kabaretem, dwunastego września – bardzo ważna data dla Piwniczian – coroczny koncert urodzinowy dla Piotra S. I cały czas jestem w trakcie poszukiwania możliwości nagrania płyty i myślę, że moja energia będzie skierowana właśnie w tę stronę.

Planujesz jakieś koncerty w Częstochowie?

Na razie jest tu cisza, chociaż w zeszłym roku chyba rekordową ilość razy śpiewałam w Częstochowie. Cieszę się z takich propozycji. Wiadomo, jest to moje rodzinne miasto i zawsze miło tam zaglądnąć.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Dominika Radkowska

Wydaliśmy płytę i dalej nas to bawi...

czyli spotkanie z zespołem muzyki irlandzkiej DRAKE

Grupa Drake istnieje bez mała 15 lat, koncertując na wielu festiwalach szantowych w Polsce. Paweł Hutny (vocal, banjo), Sławek Bielan (vocal, boran), Andrzej Drzastwa (gitara basowa), Piotrek Pala (gitara), Wojtek Kotas (flety, drumla), Bartek Wręczycki (akordeon) w tym roku wydali płytę pt. „Talizman”.

Rafał Salamucha: *Kiedy powstał zespół i w jakich okolicznościach zaczęła się wasza działalność?*

Sławek Bielan: Zespół powstał w 1993 roku. W swojej pierwotnej formie nie przetrwał próby czasu. Ponownie spotkaliśmy się w 2004 r. i od tego momentu gramy w zmienionym składzie.

Jaka jest różnica, i w składzie i w brzmieniu, pomiędzy pierwszym składem czyli Sir Francis Drake a obecną grupą Drake?

Paweł Hutny: Skrzypce zamieniliśmy na akordeon i jednocześnie skrzypaczkę na akordeonistę. Doszedł do nas Andrzej - basista. I w takim składzie gramy przeszło trzy lata.

Macie w składzie gitarę, flet, akordeon ale też takie inne, trochę egzotyczne instrumenty jak borhan i drumla. Wojtek, uczyłeś się grać na drumli czy jesteś samoukiem?

Wojtek Kotas: Jestem samoukiem. Jest to instrument pasterski, używany gdzieś tam na halach, ale nie w Polsce. Kawalek sprężynki i ramka - to wszystko. Gra się trzymając go w ustach i szarpiąc palcem ruchomy języczek. To bardzo proste

A jeśli chodzi o boran?

Sławek Bielan: Uczyłem się grać w domu na pudełku od pizzy i na poduszce. Teraz gram na instrumencie irlandzkim borhan. Jest to bęben wojenny, nadaje rytm w zespole.

Gracie irlandzką muzykę tradycyjn, ale właściwie większość kompozycji tworzycie sami. Teksty też są wasze. Paweł, skąd w tobie taka kopalnia tekstów o tematyce marynistycznej?

Paweł Hutny: Muzykę, którą tworzymy nazywamy folkim morskim. Jest ona mocno zakorzeniona w tradycji celtyckiej, irlandzkiej, szkockiej. Stąd te motywy muzyczne, które prze-

platamy własnymi kompozycjami. Są one oparte na muzyce tradycyjnej. A teksty biorą się z zamilowania do żeglarstwa, morza. Do tego, co ogólnie można nazwać przygodą.

Co jest dla was inspiracją w tworzeniu muzyki?

Sławek Bielan: Literatura, film, życie. Żeglujemy...

Piotrek Pala: Mnie inspiruje muzyka. Andreas Vollenweider jest moim idolem, jego muzyka jest dla mnie największą inspiracją.

Wojtek Kotas: Mnie również muzyka, tradycyjna irlandzka.

Bartek Wręczycki: To się bardzo często tworzy samoistnie. A nam najbardziej wychodzi tworzenie takiego klimatu. Do tego później dochodzi coś, co nazywamy przytupem. I tak powstają piękne utwory.

Paweł Hutny: Andrzej też tworzy z nami tę muzykę.

Andrzej Drzastwa: Kombinuję na basie, nadaję te najcięższe, najniższe dźwięki. Moje inspiracje to... odgłosy Huty Częstochowa.

Paweł Hutny: Andrzej wyrósł w nurcie utworów heavymetalowych, twardej muzyki. Namówienie go na granie muzyki irlandzkiej i szant nie było proste. Myślę, że poczuł ten klimat i...

Andrzej Drzastwa: Było to dla mnie niezłe wyzwanie. Przejszłem w taki klimat. Siedziałem w rockowej muzyce. Grałem w różnych kapelach i z wieloma ludźmi z tego kręgu. A tu nagle szanty, folk.

Chłopaki mówią: gramy folk. No i fajnie jest.

Paweł Hutny: Musieliśmy na początku go stopować, żeby się nie rozpędał. Zależy nam na pewnym klimacie tajemniczości muzyki. I myślę, że to nam się udaje powoli osiągać.

Opowiedzcie o swoich sukcesach muzycznych których jest niemało.

Paweł Hutny: Udało nam się kilkakrotnie brać udział w największym festiwalu tego typu muzyki w Europie, w krakowskim Shanties. Wygraliśmy Festiwal Szanty we Wrocławiu. Dzięki temu zdobyliśmy nagrodę główną, którą było nagranie płyty. Jesteśmy laureatami kilku festiwali i przeglądów. Między innymi jednego z większych festiwali, który odbył się nad Jeziorem Długim, w miejscowości Długie koło Gorzowa Wielkopolskiego - Festiwal Keja. Gramy w całej Polsce i sukcesem jest to, że wytrzymujemy ze sobą. Że jeździmy, bierzemy udział w tych konkursach. Wydaliśmy płytę i dalej nas to bawi.



Jesteście też organizatorami imprez szantowych w Częstochowie i okolicach. Czy możecie opowiedzieć coś na ten temat? Co, gdzie i jak?

Paweł Hutny: W miarę tego jak jeździliśmy i oglądaliśmy różne festiwale, chcieliśmy aby jakaś impreza odbywała się tutaj, w okolicach Częstochowy. Żebyśmy to my mogli kogoś zaprosić. Często jesteśmy zapraszani i chcieliśmy mieć możliwość rewanżu. Pokazać tę muzykę naszym przyjaciołom z Częstochowy. Kilkakrotnie nam się to udało. Organizowaliśmy Morskie Opowieści w Ośrodku Morsko. Współorganizujemy Festiwal Tratwa w Katowicach. W Poraju odbywa się Jurajski Festiwal Wodny i też włączmy się do jego przygotowań. Imprezą, w której organizację jesteśmy zaangażowani najbardziej, są Jasnogórskie Spotkania Szantowe – Rubin, odbywające się na Jasnej Górze w czasie trzeciego weekendu lipca. Jest to jednocześnie pielgrzymka żeglarzy na Jasną Górę. W związku z tym mamy możliwość spotkania się z wieloma przyjaciółmi. Cieszy nas to, że organizujemy coś zupełnie innego jeśli chodzi o szanty. Jest to taki element zadumy, nostalgii. Gdzie są utwory trochę bardziej stonowane, na które nie ma czasu podczas grania w tawernie przy piwku i podczas dużych festiwali szantowych. Ten wyjątkowy klimat tworzymy tutaj, na Jasnej Gó-

go po Morzu Bałtyckim na legendarnym, szkoleniowym żaglowcu polskim, „Zawisza Czarny”. Rok temu, w październiku. I znowu się wybieramy na rejs. Organizujemy sobie także rejsy zespołowe na Mazurach. Wiemy, o co chodzi. Co znaczy stać na burcie, gdy wieje a jacht skacze i nurkuje dziobem w fale.

Wyдалиście niedawno płytę, promowaliście ją w różnych miastach Polski. Jak została przyjęta?

Paweł Hutny: Płyta „Talizman” jest efektem trzyletniego grania. Myślę, że dokładnie obrazuje ten okres. Bo są tam utwory z początku naszego grania i utwory napisane po to, żeby zdążyć na tę płytę. Jesteśmy z niej zadowoleni. Nagranie jej kosztowało nas немало wyrzeczeń i pracy. Z efektu muzycznego jesteśmy naprawdę zadowoleni. Płyta niemalże w całości jest płytą autorską. Teksty są autorskie i duża część muzyki. Są kompozycje Piotra, Sławka, Wojtka. Każdy z nas tworzy tę muzykę. Udało nam się nagrać płytę w studiu Radioaktywni w Częstochowie. W czym bardzo pomagał nam Adam Celiński, realizator tych nagrań. Myślę, że bez jego pomocy ta płyta zabrzmiałaby zupełnie inaczej.



rze, i bardzo się cieszymy z tego, że już po raz trzeci byliśmy świadkami tego wyjątkowego wydarzenia.

Śpiewacie pieśni o żeglowaniu, szanty. Jak to się przekłada na wasze życie?

Wojtek Kotas: Żeglowanie jak najbardziej. Większość z nas interesuje się żeglarstwem. Ja żegluję od drugiej klasy szkoły podstawowej. Przygodę z żeglowaniem miałem okazję rozpocząć na zbiorniku w Poraju. Później udało mi się popłynąć po Mazurach i w rezultacie wraz z kolegami udało nam się popłynąć na Rejs Muzyków na „Zawiszy Czarnym”.

Bartek Wręczycki: Albo się zaczęło od żeglowania i później przyszła muzyka. Albo, jak Sławek często powtarza, muzyka go wciągnęła na łódkę. To działa w dwie strony. Możemy pochwalić się Rejsem Muzyków, bo odbyliśmy

Sławek Bielak: Promowaliśmy ją najpierw podczas Szant we Wrocławiu. Jej nagranie było nagrodą za wygranie właśnie tego festiwalu. Wszędzie przyjmowana jest dobrze, niesie pozytywny oddźwięk. Na forum internetowym, w „Szantymaniaku”, można przeczytać kilka recenzji. Ci, którzy kupili płytę, są zadowoleni. Słuchają jej, bawią się przy niej, bardzo się im podoba.

Paweł Hutny: Jak na razie tylko jeden nasz serdeczny przyjaciel od dziecka zażądał zwrotu pieniędzy za kupienie płyty. Myślę, że może się jeszcze kiedyś przekona. Bardzo dużo pochlebnych recenzji na temat tej płyty dostajemy i to nas mobilizuje, żeby to, co w przyszłości mamy jeszcze zamiar nagrywać, było jeszcze lepsze od tego, co udało nam się zrobić teraz.

Dziękuję za rozmowę.

Rafał Salamucha

NIEMEN OSKARŻONY!

Obsceniczne gesty tzw. idoli wobec publiczności, polityków czy innych oficjeli mają dość długą historię i obszerną ikonografię. Ogromną większość publiczności na dłużej zatrzymuje jednak przy wykonawcy bardziej jego talent i to, co ma do powiedzenia, niż widok penisa czy gołych pódupków. Zapewne nieliczni pamiętają, że o podobną sytuację na początku lat siedemdziesiątych otarł się także Czesław Niemen.

Trzydzieści pięć lat temu miasto Radomsko wstrząśnięte zostało donosem lokalnej gazety, że artysta Niemen w czasie występu w tym grodzie, wypiął za kulisami pupę – podobno gołą – na redaktora radomszczańskiego organu, niejakiego C. Ktoś

to podchwycił w radio (telewizja wówczas to była poważna sprawa) i zrobiła się awantura. Trzeba bowiem pamiętać, że artysta Niemen, choć miał już na swoim koncie bardzo ciekawe nagrania, m.in. do tekstów wybitnych polskich poetów, nijak nie pasował propagandzistom do żołniersko-ojczyźnianych przebojów. Ponieważ nadarzyła się okazja, aby utrzeć mu nosa, w całym majestacie prawa wytoczono artyście proces o obrazę moralności. Niemen odmeldował się przed obliczem sądu w Radomsku i z szacunkiem dla jego powagi zeznawał, że owszem, zmieniał po występie dolną część garderoby, ale nie przypuszczał, że był wtedy za kulisami redaktor C., gdyż jest to miejsce dla artystów i obsługi sceny, a nie dla dziennikarzy. W podobnym stylu, też bardzo serio, choć z finezyjnie dowcipnymi podtekstami zeznawali inni świadkowie-artysty, m.in. Jacek Nieżychocki z „Silnej Grupy pod Wezwaniem”. Wkrótce więc osamotniony redaktor C. nie był już pewien, czy artysta Niemen wypiął się na niego, czy może mu się tak tylko wydawało.

Janusz Mielczarek



Fot. Janusz Mielczarek.

Czesław Niemen opuszcza budynek sądu w Radomsku

Dla twórców i mecenasów

Już po raz piętnasty odbyły się Dni Częstochowy. Inauguracja miała miejsce 21 sierpnia w Filharmonii Częstochowskiej, gdzie prezydent Tadeusz Wrona wręczył wyróżniającym się przedstawicielom kultury w naszym mieście Nagrody Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie kultury i wyróżnienia „Mecenas Kultury 2007”.

Choć od jakiegoś czasu nie stanowiło tajemnicy, że niektórzy częstochowscy ludzie kultury nie mogą zaszczyścić obecnością tego wydarzenia, sala filharmonii była prawie pełna. Prezydent Tadeusz Wrona w początkowym zagajeniu podkreślił wagę kultury dla tożsamości miasta. Odwołał się do kilku dat, które sprawiają, że sierpień jest w Częstochowie miesiącem szczególnym: to nie tylko święta kościelne 15 i 26 sierpnia. W miesiącu tym doszło także w XIV w. do sprowadzenia na Jasną Górę ikony Matki Boskiej, zaś w XIX w. do połączenia Starej Częstochowy z Częstochówką. Prezydent wymienił główne obiekty

miejskie związane z kulturą: Muzeum Częstochowskie wraz z domem Haliny Poświatowskiej, OPK „Gaude Mater”, teatr, Miejską Galerię Sztuki, filharmonię, ale też szkoły i biblioteki (nie, tych już nie wymieniał każdej z osobna). Po prezydencie wystąpił przewodniczący Rady Miasta Robert Kurpios. W swym wystąpieniu określił Częstochowę jako „nasze piękne miasto i niewątpliwie piękniejące w oczach”.

Kim są tegoroczni laureaci? Kim są Twórcy Roku? W dziedzinie literatury i historii nagrodę otrzymała prof. Elżbieta Hurnikowa, literaturoznawca z AJD. W dziedzinie teatru – Agata Ochota-Hutyra. Nagroda w dziedzinie muzyki powędrowała aż do dwóch laureatów, w tym jednego zbiorowego. Byli to: Elżbieta Doryk-Urbańska, skrzypaczka i pedagog muzyczny, oraz zespół Habakuk (ten laureat liczebniejszy był od wszystkich pozostałych razem wziętych). Nagrodę dla plastyka otrzymał Włodzimierz Karankiewicz, a za promocję i ochronę kultury – znany antykwariusz Zbigniew Biernacki.

Mistrzami ceremonii byli Adam Hutyra i Agnieszka Młynarczyk. Przy ogłaszaniu nazwisk nagrodzonych za ich plecami pojawiały się prezentacje multimedialne. Można było zobaczyć zdjęcia prof. Hurnikowej z dzieciństwa albo prace Karankiewicza, a do tego wysłuchać informacji na temat laureatów. Prezentacjom towarzyszyła nieinwazyjna muzyka fortepianowa; wyjątek stanowił oczywiście Habakuk, przy którego omówieniu słyhać było fragmenty



Twórcy Roku 2007 (od prawej): Zbigniew Biernacki, Elżbieta Hurnikowa, Włodzimierz Karankiewicz, Agata Ochota-Hutyra, Elżbieta Doryk-Urbańska, prezydent Tadeusz Wrona, zespół Habakuk

TWÓRCY ROKU 2007

utworów (niestety, z ostatniej płyty, jakby nie mieli repertuaru autorskiego).

Po prezentacjach wywołano laureatów na scenę, gdzie prezydent uhonorował ich nagrodami. W imieniu nagrodzonych wypowiedzieli się: prof. Hurnikowa oraz Wojciech Turbiarz z Habakuka. Ale to jeszcze nie był koniec uroczystości: specjalne nagrody otrzymały dwie instytucje wspierające częstochowską sztukę. Mecenasami Kultury 2007 zostały: Częstochowskie Przedsiębiorstwo Komunalne oraz ISD Huta Częstochowa. W ich imieniu statuetki odebrali nieco onieśmieleni reprezentanci, którzy przy okazji wygłosili krótkie przemówienia. Dodajmy tu, że na scenie przez cały czas stał poczet sztandarowy Straży Miejskiej ze sztandarem Częstochowy, w stylowych mundurach, wzorowanych na przedwojennych policyjnych, i przy szabli. Przed imprezą widziałem, jak strażnicy na schodach filharmonii wprawiają się w rąbaniu, ale później obyło się bez chwytania za broń.

Po części oficjalnej nastąpiła artystyczna. Kurtyna opadła na jakiś czas, a gdy się podniosła, wszystko już było przygotowane do koncertu. Wystąpił zespół jazzowy Five O'Clock Orchestra z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej naszej filharmonii pod batutą Jerzego Salwarowskiego. Repertuar stanowiła „Suita nowoorleańska” Tadeusza Erhardta-Orgielewskiego i Eugeniusza „Kerry’ego”

Marszałka. Moim zdaniem, był to wręcz wzorcowy przykład „koncertu na grupę i orkiestrę”. Suita, złożona m.in. z nowoorleańskich standardów, co jakiś czas zaskakiwała inwencją. Już na samym początku: orkiestrowa uwertura, a potem, ni stąd ni zowąd, eleganckie przejście do lekkiego jazzu rodem z dwudziestolecia międzywojennego, grane go przez zespół. Kiedy indziej znowu orkiestra wpadała w swing lat 30. Spośród członków zespołu pole do popisu miał każdy, a czasem nawet popisywali się parami (duet puzonu z fortepianem, dialog puzonu z kornetem). Orkiestra też nie przypominała pruskiego regimentu, o czym świadczy krótka, ale smakowita partia fagotu. Ogólne proporcje brzmiały jak trzeba, dało się słyszeć nawet grzechotkę orkiestrowego perkusisty i tempelbloki zespołowego. Tylko banjo pozostawało schowane. Finał suitę stanowiło „When the Saints Are Marching In” z błyskotliwymi improwizacjami wszystkich członków Five O'Clock Orchestra. Potem jeszcze wyszli na bis.

Gdy koncert się skończył, nadeszła najbardziej oczekiwana część uroczystości. Można było udać się do foyer i zjeść jak należy. Catering stanowił mocną stronę imprezy: prócz wszechobecnych babeczek na słono i sałatek nie brakowało też tradycyjnych kanapek, ciast, owoców, a nawet babeczek na słodko. Generalnie – częstochowscy twórcy nie muszą się wstydzić takiego przyjęcia. (jp)



Fot. Zbigniew Burda

Laureaci Nagród Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie kultury za rok 2007

Elżbieta Hurnik. Częstochowianka, ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Śląskim. Od 1987 roku wykładowca w Wyższej Szkole Pedagogicznej (obecnie Akademia im. Jana Długosza) w Częstochowie. W latach 1994-97 lektor języka polskiego w Instytucie Translatoryki Uniwersytetu Wiedeńskiego. Autorka dwóch książek poświęconych Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, licznych studiów i rozpraw naukowych oraz publikacji popularyzatorskich. Od wielu lat działa w środowisku naukowym i kulturalnym Częstochowy. Uczestniczyła w przygotowaniu ekspozycji w Domu Poezji - Muzeum Haliny Poświatowskiej. W 2006 roku opracowała i opatrzyła obszernym wstępem antologię „Z częstochowskiej ziemi na literacki Parnas”, zawierającą wiersze Władysława Sebyły, Jerzego Lieberta, Haliny Poświatowskiej i Ludmiły Marjańskiej.

Agata Ochota-Hutyra. Absolwentka Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej we Wrocławiu; od 1990 roku aktorka Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie. Ważniejsze role: Judyta w „Księżu Marku”, Mary w „Łysej Śpiewacze”, Helena w „Wujaszku Wani”, Julia w „Pannie Julii”, Laura w „Kordianie”, Iwona w „Iwonie, księżniczce Burgunda”, Mary w „Jak się kochają w niższych sferach”, Evelyn w „Jabłku”. Znakomita interpretatorka tekstów poetyckich, czego świadectwo dawała m.in. podczas Teatralnych Salonów Poezji. Talent wokalny zaprezentowała w spektaklach muzycznych: „Pod niebem Paryża” i „Kram z piosenkami”. W 1995 roku otrzymała Nagrodę Artystyczną „Złota Maską”.

Włodzimierz Karankiewicz. Absolwent Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Zajmuje się malarstwem, scenografią i grafiką użytkową. Autor wielu wystaw indywidualnych i uczestnik prestiżowych wystaw zbiorowych. Szczególnym wydarzeniem artystycznym stała się w 2006 roku jego wystawa indywidualna w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie, pt. „Okno na Mistrza trzy”. Prace artysty znajdują się w zbiorach Muzeum Archidiecezjalnego w Warszawie, a w Częstochowie – w zbiorach MGS i Regionalnego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Jest współautorem aranżacji i scenografii wystaw w Muzeum Częstochowskim, w tym stałej wystawy historycznej „Dzieje Miasta Częstochowy”, wystaw „Sztuka okresu Młodej Polski” i „Sztuka Częstochowy XIX i połowy XX wieku” oraz multimedialnej aranżacji Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej. Autor opracowania

graficznego i ilustracji do III i IV tomu „Monografii historycznej Częstochowy”.

Elżbieta Doryk-Urbańska. Skrzypaczka, absolwentka Akademii Muzycznej w Katowicach. Pedagog w Zespole Szkół Muzycznych w Częstochowie. Od 1974 roku do dziś muzyk Filharmonii Częstochowskiej. W 1995 roku powołana przez Ministerstwo Kultury na stanowisko konsultanta krajowego w zakresie gry skrzypcowej. Wybitna nauczycielka gry na skrzypcach; wykształciła ponad dwudziestu absolwentów, z których wszyscy ukończyli akademie muzyczne. Spośród jej uczniów, zajmujących wielokrotnie czołowe miejsca w krajowych i zagranicznych konkursach, warto wymienić skrzypka Tomasza Wabnica oraz świetne skrzypaczki: Aleksandrę Szwejkowską Belicę, Dobrochnę i Annę Banaszkiewicz, Joannę Czaj, Judytę Wrone, Annę Kaczmarek.

Zespół HABAKUK. Początki tej jednej z czołowych polskich grup reggae sięgają 1989 roku. W swym dorobku zespół posiada pięć płyt, które zebrały znakomite recenzje. Ogromna ilość koncertów klubowych i występów plenerowych świadczy o aktywności i popularności grupy. Szczególnym wydarzeniem artystycznym 2006 roku stało się nagranie przez zespół płyty w hołdzie Jackowi Kaczmarskiemu, z nowymi aranżacjami songów barda „Solidarności” oraz promująca płytę trasa koncertowa. W czerwcu bieżącego roku zespół wystąpił na festiwalu w angielskim Glastonbury, jednej z największych imprez plenerowych w Europie.

Zbigniew Biernacki. Zasłużony dla miasta księgarz, antykwariusz i wydawca, z zamiłowania historyk. Kolekcjoner częstochowianów oraz wydawnictw i pamiątek posiadających wartość historyczną. Organizator aukcji księgarskich. W latach 2000-2007 zrealizował szczególne przedsięwzięcie edytorskie, wydając Częstochowską Trylogię na dawnej pocztówce. Od siedemnastu lat prowadzi księgarnię-antykwariat przy ulicy Kopernika w Częstochowie. Potrafi dzielić się posiadanymi skarbami, i tak np. cudem ocalały od zniszczenia sztandar z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej i orłem w koronie otrzymał Klasztor Jasnogórski, a pierwsze wydanie „Myśli i aforyzmów o etyce lekarskiej” Władysława Biegańskiego - Biblioteka Publiczna w Częstochowie.

Nagrody Prezydenta Miasta Częstochowy przyznawane są raz w roku za szczególne osiągnięcia w twórczości, promocji i ochronie kultury w następujących dziedzinach: literatura i historia, muzyka i taniec, sztuki plastyczne, teatr i film, ochrona i promocja kultury. Nagrody mogą być przyznane na podstawie oceny całokształtu działalności lub za osiągnięcie o istotnym znaczeniu. Nagroda za całokształt działalności może być przyznana tej samej osobie tylko jeden raz.

Kościół śś. Rocha i Sebastiana

Przypomnijmy, że w latach czterdziestych XVII w. w Częstochowie z inicjatywy o. Andrzeja Gołdonowskiego, prowincjała paulinów, powstało kilka budowli kościelnych. Jedną z nich była niewielka centralna kaplica kopułowa śś. Rocha i Sebastiana, zbudowana w latach 1641-1642 na najstarszym cmentarzu w pobliżu Jasnej Góry. W czasie oblężenia klasztoru przez Szwedów w 1655 r. została poważnie uszkodzona, po czym wkrótce chyba ją odbudowano, bo na sztychu Jana Bensheimera (z czasu po tym wydarzeniu) pokazana jest w dobrym stanie. Następnie na jej miejscu zbudowano obecnie istniejący kościół śś. Rocha i Sebastiana, jednonawowy z prezbiterium zamkniętym ścianą prostą i wówczas z jedną wieżą od frontu, konsekrowany wraz z ołtarzem w 1680 r. W 1739 r. świątynię odnowiono staraniem paulina Pafucego Olbińskiego, a czterdzieści lat później (1771) została spustoszona w czasie walk konfederatów barskich. Osiemnastowieczny wygląd kościoła pokazuje pochodzący z tego czasu publikowany sztych. Łatwo zauważyć, że wówczas budowla ta ogólnie przypominała jednowieżowy kościół śś. Barbary i Andrzeja i, przed przebudową, również jednowieżowy kościół św. Zygmunta. W tym stanie przetrwała do początku lat osiemdziesiątych XVIII w., po czym została przebudowana (1783-1785). Kościół otrzymał wówczas przede wszystkim dwuwieżową fasadę, wewnątrz nakryto sklepieniem kolebkowym, a do nawy od strony wschodniej dobudowano kostnicę (kruchta jest dziewiętnastowieczna). Przebudowa miała miejsce mniej więcej w tym samym czasie, kiedy przekształcano kościół św. Zygmunta, zmieniając jego fasadę na dwuwieżową. Zapewne nieprzypadkowo w obydwu kościołach są bardzo podobnie wykonane elementy architektoniczne. Może to wskazywać na udział w realizacji przebudowy świątyni tych samych muratorów.

Ogólnie jednak barokowy kościół śś. Rocha i Sebastiana nie wyróżnia się bogatszym detalem architektonicznym. Podobnie jest we wnętrzu. Tę swoistą powściągliwość użytych elementów częściowo wynagradza wyposażenie świątyni, na które składają się trzy barokowe ołtarze, rokokowa ambona, sporo rzeźb, m.in. świętych związanych z zakonem paulińskim (św. Paweł Pustelnik i św. Antoni Opat), obrazów i wyrobów rzemiosła artystycznego.

Ołtarz główny wcześniej należał do wyposażenia kościoła siedemnastowiecznego i był wraz z nim conse-

krowany w 1680 r. Później w części uzupełniono go osiemnastowiecznymi elementami ornamentальnymi. Dwa ołtarze boczne (obecnie przy ścianach nawy) pochodzą z 1740 i 1745 r. i zwracają uwagę obramieniami w polu głównym w formie płomienistego serca. Motyw ten jest przykładem odbicia w sztuce (zwłaszcza w rzemiośle artystycznym) rozwijającego się w XVII i XVIII w. kultu Serca Jezusowego. Jeden z ołtarzy bocznych (prawy) fundował w 1745 r. mieszczanin częstochowski Franciszek Zwolski. W tym ołtarzu znajduje się nowszy obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, sprawiony w 1872 r. przez Mariannę i Jana Klimkiewiczów. Jan, znany częstochowski malarz, jest przypuszczalnie autorem obrazu.

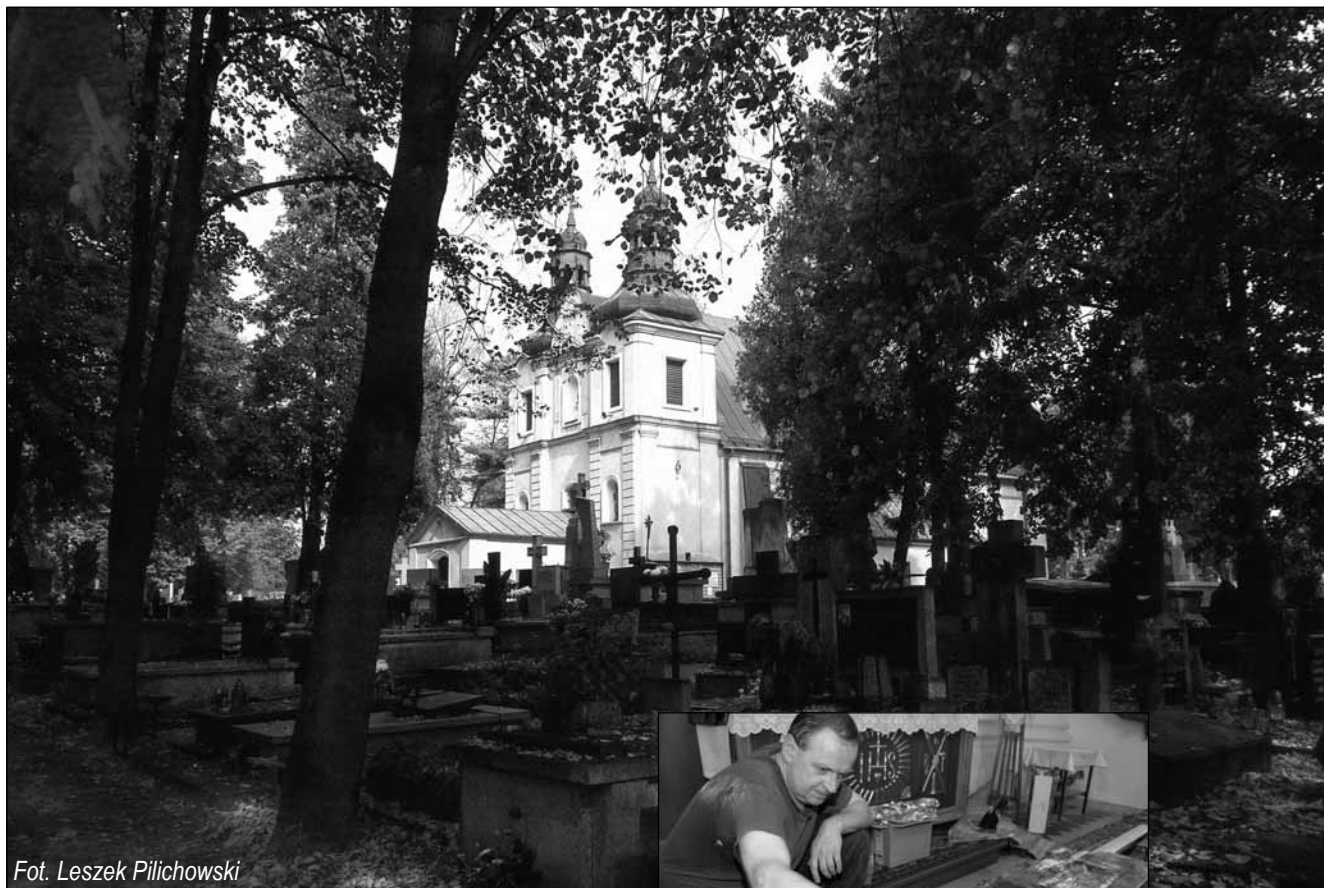
Nowsza od ołtarzy jest rokokowa ambona fundowana około 1785 r. przez czynne przy kościele bractwo św. Rocha.

Do ołtarza głównego przed 1680 r. został namalowany obraz śś. Rocha i Sebastiana, przemalowany w XIX w. z dodaniem wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej w górnej partii. Pozostałe obrazy pochodzą z czasów późniejszych. Trzy z nich miały



Fot. Zbigniew Burda

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



Fot. Leszek Pilichowski

specjalne przeznaczenie, służyły jako obrazy cechowe. Trzeba bowiem pamiętać, że przy kościele śś. Rocha i Sebastiana koncentrowało się życie religijne działających w Częstochowie kongregacji skupiających licznych tu malarzy i introligatorów, a także szewców i murarzy. Obraz św. Łukasza namalowany w 1889 r. przez Jana Teodora Grotta z Częstochowy należał do cechu malarzy, a dwa dalsze: śś. Kryspina i Kryspiniana z drugiej połowy XIX w. do szewców i św. Wincentego Ferrariusza z 1879 r. do cechu murarzy. Obraz śś. Kryspina i Kryspiniana malowany jest na desce. Sukienki świętych są drewniane, wypukło modelowane i bogato złożone. Jest to technika bardzo popularna w Częstochowie, dlatego można przypuszczać, że obraz powstał na miejscu w tym środowisku. Wiemy, że obrazy z rzeźbionymi sukienkami robili tu m.in. Adam Szymaczek i jego syn Tadeusz.



ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



Fot. Leszek Pilichowski



Fot. Zbigniew Burda



Obrazy dla cechu malarzy, zgodnie z jego statutem, wykonywali sami jego mistrzowie. Z uroczystości odpustowej w 1841 r. zachowała się ciekawa informacja mówiąca, że obraz przybrany „wśród rzeźby złotego feretronu” przeniesiono wówczas z kościoła parafialnego (św. Zygmunta) do kościoła św. Rocha, „gdzie na zawsze miał być powielbiany Patron święty i obraz jego ulokowany”.

Bractwa w kościele św. Rocha miały również relikwiarze swoich patronów. Zachowały się cztery. Jeden z nich to późnobarokowy relikwiarz św. Pawła Celestyna z 1799 r. należący do cechu introligatorów. Trzy pozostałe stanowiły własność kongregacji szewców z 1786 r., murarzy z drugiej połowy XIX w. i malarzy z końca XIX w. Z tkanin zabytkowych najstarsze pochodzą z pierwszej połowy XVIII w. Ponadto w zakrystii zachowała się późnobarokowa szafa z przełomu XVIII i XIX w.

Na zewnętrznej ścianie przedsionka zwracają uwagę dwie marmurowe tablice epitafijne Antoniego i Franciszki Klimkiewiczów, zmarłych w 1831 i 1841 r., oraz

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



Fot. Zbigniew Burda

Wojciecha Czajkowskiego, zmarłego w 1858 r.

W ostatnich latach kościół poddano gruntownym pracom konserwatorskim i zabezpieczającym. Przeprowadzono też konserwację wielu obiektów wyposażenia: ołtarzy, rzeźb i obrazów. Prace te, wykonane przez mgr Marię Góralczyk, przywróciły wnętrzu dawny urok. Dodajmy, że kościół kilkakrotnie

był obiektem zainteresowania artystów. W 1862 r. jego rysunek ołówkiem wykonał Władysław Szerner (1836-1915). Przedstawił on wówczas również inne kościoły Częstochowy. Czternaście lat później (1876) kościół św. Rocha i Sebastiana znalazł się w „Albumie widoków Częstochowy” z drzeworytami według rysunków Władysława Dmochowskiego (1838-1913). Jedną ze swych akwreli poświęcił tej świątyni również Tadeusz Cieślewski (1870-1956), senior, malarz architektury warszawskiej, który w połowie lat 30. XX w. wykonał serię widoków Jasnej Góry, wydaną w formie albumu i luźnych pocztówek. W zakrystii naszego kościoła znajduje się też niewielki obrazek olejny z 1940 r. przedstawiający wnętrze świątyni z widokiem na prezbiterium i lewy ołtarz boczny stojący wtedy przy tęczy.



Fot. Zbigniew Burda

Literatura:

A. Jaśkiewicz, *Materiały do historii cechowego rzemiosła artystycznego XVIII i pierwszej połowy XIX wieku w Nowej Częstochowie*, „Archiwa, Biblioteki i Muzea Kościelne” t.6, Lublin 1963, s. 239-263.

J. Samek, *Refleksy kultu Cordis Jesu w polskim rzemiośle artystycznym*, „Biuletyn historii sztuki” r. 29, 1967, nr 2, s. 164-170.

A. Jaśkiewicz, *Ikonografia zabytków Częstochowy i okolicy*, katalog, Muzeum Okręgowe w Częstochowie, Częstochowa 1991, il. 137

Katalog zabytków sztuki w Polsce, t.VI, cz.1 *Miasto Częstochowa*, cz. *Stare i Nowe Miasto, Częstochówka, i przedmieścia*, oprac. Z. Rozanow i E. Smulikowska, Warszawa 1995, s. 137 i n.

J. Żmudziński, *Dzieje miasta i Klasztoru Jasnogórskiego*, t.1., Częstochowa 2002, s. 279-298.

Aleksander Jaśkiewicz
Muzeum Częstochowskie

Z Rynku Wieluńskiego, ulicą starych parterowych domków pielgrzym dochodzi do kościoła św. Rocha. Potężne drzewa ocieniają najstarszy w Polsce czynny cmentarz. Ulicą i cmentarzem św. Rocha zachwycał się kiedyś Stefan Kisielewski. Dziś zabytkowe nagrobki czekają w kolejce na konserwację z funduszy ubieranych w czasie dorocznej kwesty. A stare miasteczkowe domy, nadające charakter miejscu, wykruszają się coraz bardziej. Nikt nie myśli o tym, że to skarb Częstochowy. Tu i ówdzie domy już wyburzono albo przerobiono do niepoznania. Jeszcze są bramy, brukowane kocimi łbami wjazdy. Gdyby tak władze miasta potrafiły wymyślić i zrealizować program ratowania podjasnogórskich uliczek, z ich starą zabudową, historyczną nawierzchnią, niepowtarzalnym klimatem! Inaczej wszystko, co cenne zniknie stąd bezpowrotnie.

Na cmentarzu św. Rocha spoczywa wielu częstochowian, także tych wybitnych i znanych. Również spośród moich znajomych i rodziny. Z przekazów rodzinnych pamiętam choćby o Wrońskim, uczestniku powstania styczniowego, który ukrywał się pod przybranym nazwiskiem Ciemięga. Jest tutaj też grób Haliny Poświatowskiej, której rocznicę śmierci, 11 października 1967, miasto uczy w tym roku w sposób piękny i niebanalny. A zabytkowym cmentarzem interesowali się malarze. Przypomnę tylko obrazy Mariana Klaklika i Janusza Głowackiego.

Władysław Ratusiński

**Dzieje Biblioteki Publicznej
im. dr. Władysława Biegańskiego (III)**

Biblioteka wojewódzka

W połowie stycznia 1974 r. odbyło się uroczyste oddanie do użytku nowego gmachu Miejskiej Biblioteki Publicznej im. dr. Władysława Biegańskiego przy Alei NMP 22. Po czterech latach prace remontowe dobiegły końca, a zrealizowana w tym czasie wizja architektoniczna mgr. inż. arch. Bogdana Jezierskiego w całej okazałości zaprezentowała się mieszkańcom Częstochowy. Budowla ta nadzwyczaj korzystnie wkomponowała się w krajobraz urbanistyczny tej części miasta.

Powierzchnia użytkowa nowego, całkowicie zmodernizowanego budynku frontowego wraz z przylegającymi do niego dwiema oficynami wyniosła 2100 m². Mogły powrócić rozproszone na czas remontu w różne części miasta wszystkie agendy udostępniania zbiorów. I tak, Wypożyczalnia Główna zajęła parter gmachu z powierzchnią ponad 100 m². Pierwsze piętro zdominowała Czytelnia Naukowa (140 m² i 52 miejsca czytelnicze) i informatorium (60 m²), natomiast piętro drugie podzieliły między siebie: Czytelnia Czasopism (110 m² i 105 miejsc) oraz sala wystawowa o powierzchni 60 m². Przebiegający przez wszystkie kondygnacje pion magazynowy, przewidziany na ok. 200 tys. woluminów, posiadał łączną powierzchnię 400 m².

Koszt inwestycji wyniósł ok. 8 mln złotych, co na ówczesne warunki było kwotą znaczącą. I choć prace budowlane miały liczne przestoje i zahamowania, to jednak zakończyły się pełnym sukcesem. Był to także niewątpliwy sukces dyrektora Biblioteki, Antoniego Kłyka, bo to głównie jego osobisty upór poparty licznymi staraniami u wszelkich dostępnych władz, doprowadził do szczęśliwego finału. W kilka miesięcy później dyrektor Kłyk odszedł jednak na emeryturę, a warto podkreślić, że była to postać o ciekawym życiorysie. Urodził się na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej w początkach XX wieku, w wielodzietnej chłopskiej rodzinie. Jak sam często powtarzał, bardzo długo „pasał kury”, nim ukończył studia pedagogiczne i uzyskał mianowanie na nauczyciela szkoły powszechnej. W wyniku wojennej zawieruchy trafił do 2. Armii Wojska Polskiego, z którą przeszedł cały szlak bojowy, zakończony w czeskim Budziszynie. Zdemobilizowany, jako repatriant osiadł z żoną i córką w Częstochowie. Był tutaj nauczy-

cielem i inspektorem oświaty, pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej. Jako sekretarz Towarzystwa Popierania Kultury Regionalnej, przez wiele lat zabiegał o druk kolejnych roczników „Ziemi Częstochowskiej”. Wśród licznych osobistych zainteresowań wyraźnie widoczne było pszczelarstwo i hodowla kwiatów. Pod koniec życia wyemigrował do córki w Anglii, gdzie zmarł w początkach lat dziewięćdziesiątych ub. wieku. Prochy dyr. A. Kłyka wróciły do kraju i spoczęły na cmentarzu na Kulach.

Po odejściu dyrektora Kłyka na emeryturę, funkcję tę pełnił przez kilka miesięcy dr Waldemar Tyras, znany częstochowski dziennikarz, teatrolog i bibliotekoznawca.

W czerwcu 1975 r. w wyniku zmian w podziale administracyjnym kraju powstaje województwo częstochowskie. Jedną z konsekwencji tego wydarzenia było powołanie Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej. W praktyce sprowadzało się to do przekształceń organizacyjnych w Bibliotece Miejskiej i włączenia w jej struktury Biblioteki Powiatowej. Tak skonstruowana instytucja zachowała swój status do końca roku 1998, kiedy to kolejne zawirowania, głównie polityczne, zlikwidują województwo częstochowskie.

Biblioteka Wojewódzka to zarazem znaczny prestiż, jak i nowe poważne zadania. Do dotychczasowych miejskich funkcji dochodzi instruktaż i nadzór merytoryczny w stosunku do 200 bibliotek publicznych na rozległym terenie województwa. To obowiązek szkolenia pracowników tych bibliotek, a także zadania finansowe wynikające z podziału dotacji pieniężnych na działalność placówek.

Na stanowisku dyrektora Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej powołana zostaje mgr Aleksandra Kamińska, dotychczasowa kierowniczka Biblioteki Powiatowej. Funkcję tę pełniła przez kilkanaście lat, aż do przejścia na emeryturę w 1990 r. Jej zastępcami byli kolejno: mgr Jan Ławnikowski, mgr Aniela Musiałek, mgr Halina Banaszekiewicz i mgr Edyta Oksińska-Skrzypiec.

Analizując dziś ten okres dwudziestu paru lat, trzeba stwierdzić, że był to czas sporych osiągnięć. Wzbogaciła się baza materialna bibliotek, poprawiły warunki obsługi czytelniczej, nastąpił znaczny rozwój czytelnictwa na terenie miasta.

Już na wstępie, w wyniku włączenia w granice administracyjne Częstochowy przyległych miejscowości (Gnaszyn, Dźbów, Kiedrzyn, Brzeziny), sieć bibliotek filialnych powiększyła się o 4 działające na tych terenach placówki biblioteczne. W kolejnych latach powstała jedyna w województwie specjalistyczna filia muzyczna, oddano do użytku biblioteki osiedlowe w dzielnicach Północ,

Lisinieć, Parkitka. Włączona została także do sieci miejskiej zagrożona likwidacją zakładowa biblioteka Huty Częstochowa. Ogółem w roku 1998 na terenie Częstochowy usytuowanych było 29 bibliotek publicznych.

Oprócz ilościowego rozwoju sieci bibliotecznej, wyraźną okazała się poprawa bazy lokalowej placówek. Wiele z nich przemieszczono do większych i bardziej funkcjonalnych pomieszczeń (między innymi w dzielnicach: Zawodzie, Stradom, Barbary, Trzech Wieszczy, Wrzosowiak), inne poddane zostały daleko idącej renowacji.

Systematyczny dopływ środków finansowych oraz racjonalne ich wydatkowanie sprawiły, że zbiory książkowe częstochowskich bibliotek publicznych podwoiły się w omawianym okresie, wzrastając z 380 tys. tomów w 1975 r. do 750 tys. w 1998 r.

Liczba stałych czytelników wzrosła w tym samym okresie z 40 tys. do 64 tys. osób. A zatem blisko 25% mieszkańców Częstochowy utrzymywała codzienne kontakty z bibliotekami, które praktycznie działały we wszystkich osiedlach i dzielnicach miasta. Wskaźnik ten należał wówczas do najwyższych w skali kraju.

Równie dynamicznie rosło wykorzystanie zgromadzonych w placówkach bibliotecznych zbiorów. O ile w roku 1975 udostępniono czytelnikom 700 tys. woluminów, to dwadzieścia cztery lata później - już 1300 tys. woluminów.

W ciągu tych lat zmieniała się także struktura zarówno zgromadzonych, jak i udostępnianych zbiorów. Preferencje zyskiwała stopniowo literatura pozabeletrystyczna, głównie popularnonaukowa. Częściowo były to efekty ogólnych procesów socjologiczno-demograficznych. Wzrastała bowiem liczba studentów częstochowskich uczelni, przybywało także uczniów wszystkich typów szkół. Zwiększyło się więc zapotrzebowanie na różnorodne materiały i opracowania, których najchętniej poszukiwano w bibliotekach publicznych.

Ważnym czynnikiem stało się doskonalenie obsługi czytelniczej. Liczba pracowników bibliotek wzrosła z 90 do 140 osób. Nastąpiły również zmiany jakościowe kadry. Do 85% zatrudnionych wzrosła ilość pracowników z przygotowaniem bibliotekarskim, a 40% legitymowało się dyplomem wyższych uczelni.

Spokojną na ogół biblioteczną pracę zakłóciły wydarzenia polityczne lat 1981-82. Wprowadzenie stanu wojennego spowodowało, jak wszędzie, reakcje obronne. Członkowie bibliotecznej Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” (niektórzy z nich byli we władzach regionalnych związku: Anna Woźnicka, Halina Sołdrowska, Ewa Derda,

Barbara Trzaskowska-Szcześniak, Danuta Izdebska, Marian P. Rawinis) doznali wielu upokorzeń ze strony funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa PRL. Dokonywano rewizji i przesłuchań, zastraszano, wreszcie internowano i więziono. Przywracanie normalności w instytucji trwało kilka następnych lat.

W roku 1990 dyr. Aleksandra Kamieńska przechodzi na emeryturę. W wyniku publicznego konkursu stanowisko to obejmuje dotychczasowa kierowniczka Wypożyczalni Głównej, mgr Ewa Derda. Jej zastępcą zostaje wieloletni kierownik Działu Instrukcyjno-Methodycznego, mgr Bogdan Hennig.

Struktura organizacyjna i zasadnicze kierunki działania Biblioteki zostają zachowane. Rozpoczyna się złożony proces komputeryzacji zbiorów i podstawowych czynności bibliotecznych. Do końca lat dziewięćdziesiątych udało się zapewnić podstawowy sprzęt komputerowy Bibliotece Głównej, stworzyć lokalną sieć logiczną i wprowadzić do centralnej bazy danych opisy katalogowe znacznej części zbiorów Wypożyczalni Głównej i Czytelni Naukowej. Uruchomiono także komputerowy system rejestracji wypożyczeń w Wypożyczalni Głównej oraz komputerowy wydruk kart katalogowych dla całej sieci placówek bibliotecznych. Ten zakres działań nazwano umownie I etapem komputeryzacji instytucji.

W roku 1997 pod patronatem władz miasta Częstochowy zorganizowane zostały uroczyste obchody 80. rocznicy powołania Biblioteki Publicznej im. dr. Wł. Biegańskiego. Przybyli przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Sztuki, administracyjnych władz państwowych i samorządowych województwa i miasta, dyrektorzy placówek kulturalno-oświatowych, bibliotek wojewódzkich, a także goście zagraniczni z Okręgowej Biblioteki ze Smoleńska. Spotkaniu towarzyszyła sesja naukowa poświęcona historii Biblioteki. Zasłużeni pracownicy wyróżnieni zostali odznaczeniami państwowymi, resortowymi i nagrodami pieniężnymi.

W dwa lata później z mapy administracyjnej kraju znika województwo częstochowskie. W wyniku tej decyzji Biblioteka traci status placówki wojewódzkiej i państwowej. Przechodzi w gestię władz samorządu terytorialnego. Otrzymuje uprawnienia biblioteki miejskiej z elementami działalności merytorycznej na rzecz bibliotek publicznych w powiecie częstochowskim. Ale to już następny rozdział dziewięćdziesięcioletniej historii.

Bogdan Hennig

Aleksander Wierny

NN

(fragment)

Ja, Oskar Sawicki, siedzę za odrapanym biurkiem w małym, ciemnym pokoju i poprawiam opisy zbrodni, przestępstw i wykroczeń.

Bezczelny łapówkarz

Policjanci zatrzymali pijanego kierowcę. 42-letni mężczyzna jadąc oplem corsą ulicą Jagiellońską spowodował kolizję, uderzył w tył jadącego przed nim forda focusa, a potem próbował przekupić funkcjonariuszy stuzłotowym banknotem, dodając zarazem, że muszą mu wypłacić pięćdziesiąt złotych reszty.

Policjanci oczywiście nie zgodzili się na tę propozycję. Badanie alkomatem wykazało, że mężczyzna ma we krwi prawie cztery promile alkoholu. Za prowadzenie samochodu w takim stanie grożą mu dwa lata więzienia, za próbę korupcji – dziesięć lat.

Pod koniec każdego miesiąca, bez opóźnień – bo przecież zajmuję państwową posadę – na moje konto wpływa niewielka pensja. To cena, jaką policja płaci poloniście, byłemu nauczycielowi z liceum, za jasne i przejrzyste komunikaty, które trafiają codziennie do dziennikarzy z Częstochowy.

Jestem postacią z głębokiego cienia.

Żurnaliści przyjmują, że autorem informacji jest rzecznik prasowy.

W komendzie prawie nikt nie wie o moim istnieniu.

Moją tożsamość zna komendant, który przed rokiem dostał od zwierzchników poufny rozkaz dyskretnego zatrudnienia osoby o moich kwalifikacjach. Nie musiał długo szukać, bo jestem synem jego dalekiego krewnego, znanego częstochowskiego prokuratora, który dziś cieszy się zasłużoną emeryturą.

Współpracuję ściśle z rzecznikiem prasowym, nadkomisarzem Tomaszem Bieńkiem, policjantem z krwi i kości, który chyba nie przepada za swoją funkcją. Mam wrażenie, że wolałby przesłuchiwać, zamiast odpowiadać na pytania dziennikarzy. Nie żywi też przesadnej sympatii do mnie, jakby uważał, że jestem istotą bliższą z natury żurnaliście, niż funkcjonariuszowi.

Ma rację.

Każdego ranka wstępnie selekcjonuje wieści z ostatniej doby i podpisuje się następnie pod sporządzonymi przeze mnie komunikatami. Kiedy odwiedza mój pokój, na ogół pochyla się nad odrapanym biurkiem, żeby przytłoczyć mnie zwalistą sylwetką. Oczy Bieńka są tego samego koloru, co nienagannie wyprasowany mundur.

Nie wiem, ilu podobnych do mnie cyzelatorów nagej, policyjnej rzeczywistości zatrudniono podczas ataku marketingowego szaleństwa, bo to tajna informacja. Wnioskując z rzucanych przez komendanta półgębkiem strzępków informacji mogę przypuszczać, że utajnieni poloniści pojawili się w każdej większej komendzie w kraju. Zdaniem szefów ze stolicy, nasza praca powinna poprawić wizerunek policji w oczach dziennikarzy, grupy opiniotwórczej i szczerze znienawidzonej przez najwyższej postawionych stróżów prawa.

I dlatego każdego dnia czyścimy komunikaty ze sformułowań w rodzaju „intensywnie oddalił się z miejsca wypadku”, „mężczyzna nn” (czyli o nieznannej tożsamości), „doznała ciężkich obrażeń ciała”, „stosując groźby karalne chciał wymusić zwrot długu na dłużniku”, „policjanci realizowali czynności w sprawie”.

Nasze istnienie jest utrzymywane w tajemnicy, żeby policja nie naraziła się na oskarżenia o rozrzutność. Poznawszy nieco sposób myślenia dziennikarzy, jestem przekonany, że zaraz zaczęliby przeliczać nasze pensje na koszty zakupu brakujących radio-wozów, albo na liczbę komputerów, które mogłyby służyć w komisariatach.

Nigdy nie spotykałem towarzyszy spowitej wolem tajemnicy walki o poprawność językową. Nie wiem, jaką część ośmiogodzinnej dniówki zajmuje im wywiązanie się z obowiązków, ale mnie zazwyczaj udaje się uporać z pracą w półtorej godziny. Potem pograżam się w samotności, bo skazany na wieczne incognito wśród ludzi, którzy zarabiają na chleb odkrywaniem cudzych tajemnic, muszę być w dwójnasób ostrożny. Nie wychodzę z pokoju, jeśli nie muszę. Odwracam wzrok spotykając na korytarzach innych policjantów. Odpowiadam na ich pozdrowienia niezobowiązującym uśmiechem i nie reaguję na zaczepki. Mam szczęście, bo cierpią na emocjonalną przypadłość wszystkich ludzi służących w ściśle zhierarchizowanych, rozbudowanych strukturach: lęk przed nieokreślonymi kompetencjami. Nie wiedzą, czym się zajmują, więc się mnie na wszelki wypadek boją.

Janusz Piernikarski

Kot nowej generacji

Od niedawna mamy nowego kota. Nazywamy go Bolek lub Bolcio. Na razie nie reaguje jeszcze na to imię, ale młody jest, ma czas się nauczyć.

Dlaczego Bolek? Jakoś tak wyszło. Zazwyczaj mamy w domu kłopoty z wymyśleniem imienia dla kota i dopiero po kilku dniach pojawia się rozwiązanie. Oficjalnie patronem naszego kotka jest Bolesław II Rogatka vel Łysy, książę legnicki i głogowski, jeden z nielicznych polskich władców, którzy mieli poczucie humoru. Jak każdy z dotychczasowych kotów, Bolcio ma szansę dorobić się kilku przydomków, na które nie reaguje, ale które go określają. Do tej pory zasłużył na jeden: Odrapi syn Enigmy.

Gdy do nas przybył, był małym, kilkutygodniowym zestresowanym szkieletem obciążonym matowym futrem, z bogatym życiem wewnętrznym, a nawet zewnętrznym (pchły). Jego kręgosłup przypominał brzeszczot. Typowe, jak na kota z polskiej wsi. Był tak cienki, że przeciskał się między szprychami roweru. Trafiając do nas, dostąpił niewyobrażalnego awansu społecznego, a z czasem i jego fizyczność się poprawiła. Wymagało to dwukrotnej wizyty weterynarza: szczepionki, odrobaczenie, wskazania dietowe i co tam jeszcze. Ale efekty widać.

Przybycie do nowego świata wiązało się dla Bolka z ogromnym zdenerwowaniem. Pierwszego wieczoru trzeba było chodzić wokół niego na paluszkach. Bał się, gdy tylko ktoś mówił trochę głośniejsze. Trzymałem go na kolanach i jakiś czas siedział ale zaraz potem uciekł pod kaloryfer. Ledwo go zdołałem wyciągnąć.

W nocy obudził mnie szelest. Zapaliłem światło i ledwo zdążyłem zarejestrować ruch, ale już nie spostrzegłem, dokąd. Rozejrzałem się, a potem dałem spokój. Po gwałtownej zmianie środowiska kot powinien mieć trochę spokoju. Do rana kot się nie ujawnił. No cóż, podobno kiedyś u kogoś, po przeprowadzce, kotka siedziała trzy dni w szafie... Zaniepokoiłem się w południe. Teraz wszystko wskazywało na to, że wszedł gdzieś i nie może się wydostać. Chwyciłem latarkę, sprawdziłem wszystkie podejrzone zakamarki i gdzie był? Oczywiście w najgłębszym kącie za szafą! Tam, gdzie, w oczekiwaniu na kota, poprzedniego dnia zbudowałem zaporę antykotową! Przedostał się przez jakąś szczelinę, o której nawet nie pomyślałem, że może się tam wcisnąć. Musiałem ją rozebrać, a następnie skłonić kota, by wszedł, co nie było łatwe. Odtworzyłem zaporę tak, aby tym razem

się nie przedostał. Jakież było moje zdumienie, gdy po chwili znowu siedział w tym samym kącie! Wskoczył na parapet i przeszedł górą, po zaporze. Nie będę tu wymieniał wszystkich szczegółów technicznych operacji uwolnienia kota, ale wreszcie udało się wyciągnąć go stamtąd i przebudować zaporę tak, aby już się nie zmieścił.

Bałem się, że po tak obcesowym wyciągnięciu z kryjówki kotek straci do mnie zaufanie, ale już wieczorem posadziłem go sobie na kolanach i tym razem zamruczał. Kilka następnych dni spędził w sposób nieskomplikowany: cały czas spał, a kiedy nie spał, jadł. Przyniosło to zresztą wymierne efekty w postaci przyrostu masy i ciała – głaszcząc go, nie można już rozróżnić poszczególnych kręgów. Ostrzył sobie pazury o opony roweru, ale kiedy wyprowadzałem jednoślada na dwór, uciekał. Trzymałem go pod zamknięciem w pokoju, tam też znajdowały się miski z pożywieniem i kuweta z piaskiem. Sam zresztą nie chciał wychodzić na zewnątrz.

Ożywienie nastąpiło dopiero po tygodniu. Bolek zaczął wypuszczać się poza pokój. Najpierw nieśmiało do przedpokoju, potem coraz dalej, do drugiego pokoju. Wkrótce dochodził do drzwi balkonowych. Kuchnię oswoił najpóźniej, ale jeść tam nie chciał. Dopiero ostatnio się przyzwyczajają. Co się tyczy łazienki, był tam może ze trzy razy. Próbowałem przemieścić tam kuwetę. Nie był specjalnie przekonany.

Przestał być wystraszoną kociątkiem, które chołało się za szafą. Teraz jest już pewny siebie. Przychodzi domownikom na kolana i mruży, wywołując kosmiczne wibracje. Odwiedza różne zakątki, kładzie się na wszystkich fotelach, buszuje za łóżkiem. Bawi się sztuczną myszą albo moim zegarkiem z bransoletą. Zrobiłem dla niego kłębek z wełny gorszego gatunku, ale ciągle go rozplątuje, obojętnie, jakbym próbował wiązać. Zazarcie drapie i gryzie po rękach i nogach, ale w ramach zabawy, niezbyt mocno. Może właśnie wyrzynają mu się stałe zęby, więc ćwiczy się w gryzieniu. W każdym razie jest coś nieodparcie zabawnego w widoku kota wczepionego wszystkimi czterema kończynami (i do tego pyskiem) w zwisającą narzutę. Pazurki chyba ma trochę za długie i za bardzo zakrzywione, bo ciągle o coś zahacza i nie może się uwolnić, na przykład o metalową siatkę głośnika.

Z Bolkiem, jak z każdym kotem, nie brakuje problemów. Należy do nich kwestia wyżywienia. Na początku jadł, co podleci, czyli głównie pokarm z konserwy i mleko. Wkrótce okazało się, że mleko mu szkodzi, a konserwa się przejadła. Kombinujemy więc całą rodziną, czym karmić kota. Wyniki eksperymentów bywają różne. Pokroiliśmy nieco boczek w drobną kostkę. Po jakimś czasie talerzyk był pusty, ale nie dlatego, że kot zjadł, tylko dlatego, że zaczął się bawić i porozrzucił boczek po całej kuchni.



Inna kwestia to jego zabawy. Młody ma myśliwski instynkt i na wszystko by polował, nawet na przedmioty absolutnie do tego nie przeznaczone. Zasługuje na uwagę, że Bolcio jest prawdziwym dzieckiem XXI wieku. Interesuje się techniką – ma skłonności do walki z moimi słuchawkami od walkmana. Bywa, że siada przy komputerze, patrzy na monitor i usiłuje upolować poruszający się kursor. uuuuuuuuuuuuuuuuuuuuhbbbbbbbbbbbbb-
 bbbbbbbbbbbbbbbbbbbbooooooooooooooooookkkkkkkk-
 kkkkkkkkkkk

I dużo więcej w tym stylu. Pisać na klawiaturze też, jak widać, się uczy.

Bolek to kot na tyle młody, że trudno powiedzieć, jaki będzie w przyszłości i czym zapisze się w annałach rodzinnych. Na pewno jednak nie będziemy się z nim nudzić. Właśnie przymierzamy się do remontu mieszkania, a on nam pomaga. Zerwał już kawałek starej uszczelki okiennej. Zajmowanie się kotem podczas generalnego remontu – to dopiero będzie jazda!

PS. Kot znowu przeszedł się po klawiaturze. Tknięty nagłym podejrzeniem, użyłem do deszyfracji programu Feline Interpreter 3.0 i oto, co mi wyszło:

Bez przesady z Bolesławem Rogatką. Przodkiem mojego rodu był Targuzzi Rudy, kot jednego z dworzan królowej Bony, wzięty przez swego pana pod Jasną Górę, osiedlili się pod Mykanowem. Ten kot był zaś w prostej linii potomkiem legendarnej kotki Beatrycze. Mieszkała ona u takiego gospodarza, który się nazywał Dante z Arabii czy tam z Algierii. Przyznaję, w częstochowskiej ziemi nieuczzone wiejskie kocury nie respektowały starożytności mojego rodu i dostawałem od nich po nosie. Ale szczęśliwie teraz trafiłem na terytorium bezkrotowe i to ja będę królem! Szkoda tylko, że w moim nowym mieszkaniu nie ma miejsca dla krowy – na przykład Ernest Hemingway trzymał krowę dla swoich kotów.

Jest i podpis, ale niestety, nie udało się go zdezyfrować. Będziemy więc kota nazywać Bolek albo Bolcio. Przynajmniej na razie.

Robert Kurpios CYROGRAF

Wiedział, że nie zaśnie. Wczoraj wziął trzy ostatnie tabletki, a dziś wieczorem zaczął się koszmara. Leki, które brał codziennie od co najmniej pięciu lat, przestały działać i siedząc teraz w fotelu zastanawiał się, co robić. Spojrzał na leżący na biurku zegarek. Zbliżała się dziewiąta. Był na siebie zły. Mógł przecież pójść do przychodni. Nie zrobił jednak tego. Po raz pierwszy pokonał go wstyd. Jego, poważnego dziennikarza, bezlitosnego tropiciela miejscowych afer! Ironiczny grymas wykrzywił mu twarz. Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Na szafce nocnej, obok lampki, leżał telefon komórkowy. Przyglądał mu się chwilę. Po kilku minutach zaczął sprawdzać zapisane w nim numery. Jest – mrknął znalazłszy poszukiwane nazwisko. Spojrzał w okno. Pora nie była nieodpowiednia, nad blokami rozciągało się granatowe niebo, ale miasto ciągle żyło. Ulicą przejeżdżały samochody, sklep na rogu był otwarty, a z oddali dobiegał śmiech młodzieży. Czyba się nie obrazi? Już miał wystukać numer znajomego doktora, w ostatniej chwili jednak zrezygnował. Nie wypadła, pomyślał i wrócił do swojego fotela. Słyszał, jak po schodach wchodzi sąsiadka. Siedemdziesięcioletnia kobieta miała kłopoty z układem krążenia. Kilka razy, gdy miał zszargane nerwy, przychodził do niej, by zmierzyć sobie ciśnienie. Dziś nie potrafił tego zrobić. Wyobraził sobie, jak otwiera mu drzwi z zaniepokojonym wyrazem twarzy i pod pozorem miłymi słowami skrywa zniecierpliwienie. Bał się wprawdzie, że może zostać rażony nagłą chorobą – wylewem albo zawałem, ale wiedział, że przede wszystkim potrzebuje tabletek. Choćby jednej. Tylko to poprawi mu nastrój. Od kilku godzin sprawdzał w szafkach, szufladach i kieszeniach różnych części odzieży, czy gdzieś przypadkiem nie zawierała się choć jedna pigułka. Nic jednak nie znalazł. Uklęknął przed obrazkiem z pierwszej komunii i zaczął się modlić. Miał nadzieję, że robi to szczerze. Kiedy skończył, wahadłowy zegar w drugim pokoju wybił godzinę dziesiątą. Nieukojuony modlitwą usiadł w fotelu i czekał na przyływ lęku. Po godzinie poczuł, jak mocno zaczyna mu bić serce a policzki stają się gorące. Podszedł do wiszącego w przedpokoju lustra. To tylko wegetatywne objawy strachu – uspokajał się patrząc w swoje oblicze. Nic mu to nie dało. Jego racjonalny umysł został okpiiony. Bał się coraz bardziej i wiedział, że musi natychmiast szukać pomocy. Zdjął z wieszaka kurtkę, sprawdził czy ma w kieszeni portfel i otworzył drzwi mieszkania. Muszę sobie załatwić leki – myślał przekręcając klucz w zamku.

Bydnek pogotowia ratunkowego stał w centrum miasta, niedaleko ratusza. Podświetlony magistrat wyglądał okazale, lecz widok ten nie cieszył. Siedział na ławce trapiiony wątpliwościami, jak człowiek, który zastanawia się, którą nogą przekroczyć próg, lewą czy raczej prawą. Wstydił się swojego lęku i czuł się jak dzieciak, któremu ktoś zwał klaser z cennymi znaczkami. Wreszcie podjął decyzję. Wstał, przebiegł przez jezdnię i znalazł się w pustym korytarzu pogotowia. Za szeregiem drewnianych ławek znajdowało się dwoje drzwi. Podszedł do pierwszych z nich. Trafił dobrze. Na pomalowanym na białą drewnie wisiała tabliczka z napisem „Dr Jan Kawalec. Lekarz chorób wewnętrznych”. W gabinecie było cicho. Nacisnął klamkę i wszedł do środka. Szczupły, trzydziestokilkuletni lekarz nie podniósł wzroku. Wypełniając kartę pacjenta wyglądał na człowieka, który nie lubi, gdy mu się w czymkolwiek przeszkadza. Mężczyzna cicho chrząknął.

- Słucham pana – powiedział doktor odkładając na bok długopis.

Ich spojrzenia spotkały się i można było w nich dostrzec wyrazy zakłopotania. To ten konował - pomyślał mężczyzna podchodząc do stolika. Przypomniał sobie, jak ostatni raz widział swojego przyjaciela Piotra po jego powrocie z Afryki. Późnym wieczorem przy-

szedł z jego żoną do szpitala chorób zakaźnych. Leżący w izolacie Piotr nie wyglądał najlepiej.

- Powinieneś pojechać do instytutu chorób tropikalnych – mówiła żona przyglądając się jego zmęczonej twarzy. – Ten lekarz to konował.

- I łapówkarz – stwierdził mężczyzna.

- Słyszałam o nim wiele złego. On ci nie pomoże! – krzyknęła.

Miała rację. Lekarz pomylił malarię z zatruciem pokarmowym i Piotr zmarł po kilku dniach. Jego rodzina była w szoku, chciała, by winny został ukarany. Nic jednak nie wskórali. Medycy zapewnili swojemu koledze nietykalność.

Mężczyzna odegnał od siebie obraz człowieka, z którym kiedyś go tak wiele łączyło i usiadł na brzegu krzesła.

- Panie doktorze, jestem w polekowej abstynencji – powiedział wpatrując się w geometryczne wzory na wykładzinie.

- Na pogotowiu nie wypisujemy psychotropów.

Przez chwilę doktor nad czymś się zastanawiał, po czym wstał i podszedł do szafki z medykamentami.

- Dam panu neospasminę – powiedział zdejmując z półki ciemnobrązową butelkę.

- Ale ja jestem uzależniony od diazepamów! Tylko relanium mnie uspokoi.

- Ten kieliszek też panu pomoże.

Podał wypełniony płynem plastikowy dozownik i zaczął się uważnie przyglądać.

- Pan był dla mnie kiedyś bardzo nieprzyjemny.

- Zabił pan mojego przyjaciela! – krzyknął mężczyzna i poderwał się z krzesła.

Na twarzy lekarza pojawił się nieprzyjemny skurcz. Opanował się jednak szybko i usiadł przy biurku.

- Pan nie jest fachowcem, więc nie może stwierdzić czy popełniłem błąd, czy nie. Te pańskie artykuły...

- Solidnie wykonałem swoją robotę – odparł mężczyzna.

- Wątpię.

- Rzeczywiście można wątpić jeśli ma się kompetentnych i ustosunkowanych przyjaciół. Korporacja cię nie zdradzi.

- Panu się tylko tak wydaje. Nie zna pan naszego środowiska.

Niech go szlag trafi! Mnie skręca z bólu, a on... – zaklął w duchu dziennikarz.

- Wróci pan jeszcze do sprawy swojego przyjaciela? – spytał doktor.

- Nie, znalazłem ciekawszy temat. Wczoraj pijany rowerzysta przejechał kota.

- No tak, przykra sprawa - z oczu lekarza powoli zniknął niepokój. - Rzeczywiście neospasmina panu nie pomoże. Wypiszę panu coś mocniejszego, choć mogę z tego powodu mieć kłopoty.

Mężczyzna znowu usiadł na brzegu krzesła i z tęsknotą zaczął sobie wyobrażać zgrabne, lśniące listki relanium.

- Wypisuje mi pan doktor cyrograf? - spytał lekarz. Ten uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Oto pańskie diazepamy. Cztery opakowania. Chyba wystarczy?

- Tak, owszem. Dziękuję panu, doktorze.

- Powinien pan jednak zrobić coś z tym uzależnieniem. Znam dobrego psychologa.

- Wolę sam rozwiązywać problemy.

- Rozumiem – Lekarz wolno pokiwał głową.

Mężczyzna pomyślał, że za kilka minut wejdzie do najbliższej apteki i świat znowu będzie bezpieczny i prosty. Minie lęk i w mrocznym zaułku nie natknie się na cień człowieka, z którym kiedyś wiele go łączyło. Wziął od lekarza receptę i schował do kieszeni.

- Tylko proszę mnie więcej nie obwiniać o śmierć kolegi – powiedział doktor do znikającego za drzwiami mężczyzny. Ten nie usłyszał go jednak.

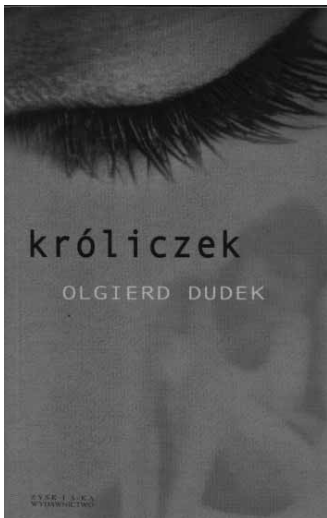
W jasno oświetlonym gabinecie lekarz podparł ramieniem głowę i spojrzał w ciemności za oknem.

- Taki młody, zdolny gryziopiórek i już ma paskudny nałóg – powiedział, uśmiechając się do siebie.

Nagle w korytarzu rozległo się głośne stukanie szpilek. Lekarz przybrał profesjonalny wyraz twarzy.

Sławomir Burszewski

DUDEK I KRÓLICZEK



Na czerwcowych Dniach Książki brałem udział w panelu dyskusyjnym na temat „Proza w Częstochowie”. Dyskutanci doszli do mizerynych wniosków, że jest nie najlepiej: młodzi nie chcą pisać, bo pisać jest ciężko, że lepiej nauczyć się języka obcego i wyjechać do Londynu czyścić kible. Jeżeli już ktoś się wybije, to jest to zwykle częstochowski emigrant w Warszawie albo Krakowie, który tutaj zwykle tylko śpi albo odwiedza raz w miesiącu

babcię. Wśród narzekań wstyd przyznać, że zupełnie przegapiono debiut obiecującego pisarza, który siedzi tu, w naszym mieście. W lutym ukazała się jego książka, ale poza krótką notką w Gazecie Wyborczej nikt nie napisał o nim ani słowa! Czas nadrobić tę zaległość.

Olgiard Dudek zadebiutował książką „Króliczek” w poznańskim wyd. Zysk. Wcześniej pisał dla „Nowej Fantastyki”, „Feniksa”, „Romantyki” i „Sekretów Serca”. Choć mieszka nadal w Częstochowie (tu się urodził i wychował), nie bierze czynnego udziału w życiu literackim miasta, pisanie nie jest też jego głównym zajęciem. „Króliczek” to dobra książka obyczajowa o Częstochowie początku lat 90., kiedy autor kończył naukę na Politechnice. Na książkę składają się dwie historie, zupełnie odrębne i nie mające teoretycznie ze sobą nic wspólnego: „Klemek” i „Robert”. Ostatecznie, tworzą one jedną całość, zmieniając się praktycznie tylko aktozy.

W „Klemku” mamy trójkąt: bohater - jego narzeczona - nieletnia sympatia. Tytułowy Klemek po studiach próbuje się ustakować, wżenić się w dobrą rodzinę, pracować jako inżynier w hucie. Stabilizacja nie jest mu dana, ponieważ na jego drodze stanęła dziewczyna z sierocińca (tytułowy Króliczek), przez którą wpakował się w kłopoty. Zamiast pracy inżyniera lub mechanika samochodowego, łąduje w półświatku przestępczym z młodocianym kieszonkowcem, gorączkowo poszukując pieniędzy i mieszkania. Mieszkański świat i rodzinne układy narzeczonej - z drugiej strony - napawają go obrzydzeniem. Historia rozwija się ciekawie, a jaką drogę życiową wybierze Klemek - to wyjaśnia się dopiero na ostatniej stronie.

Drugie opowiadanie - „Robert” - przenosi czytelnika na ulicę Katedralną, gdzie para bohaterów - typowych outsiderów po przejściach - próbuje sobie ułożyć życie.

Życie nie lekkie, bo dziewczyna jest bita w domu (pracuje jako uliczny sprzedawca gazet), a chłopak zatrudnia się jako „kopydół” na cmentarzu Kule. Opisy tych profesji są bardzo zajmujące, ale główną osią dramatyczną opowieści jest przypadkowy udział dziewczyny w rozbieżnej sesji fotograficznej dla pary amerykańskich artystów. Kontrowersyjny happening pod Jasną Górą wzburza lokalną społeczność, a opinia skazuje dziewczynę na potępienie. Oczywiście zwycięża szczerze uczucie i wszystko dobrze się kończy, chociaż przy końcu pachnie tragedią i trupem. Najciekawsze w tych historiach są opisy realiów dnia powszedniego, trafne obrazki środowisk marginalnych, takich „nędzników” raczkującego kapitalizmu (np. kibole, menele i tanie dziewczyny) i specyficznej polskiej mentalności (rola proboszcza w życiu dzielnicy). Z pewną ciekawością czyta się opisy zawodów, których nikt by nie chciał wykonywać, a z którymi się każdy przelotnie zetknął, jak np. rozdawanie ulotek w przebraniu kaczki czy misia.

Choć miasto nie jest tu głównym bohaterem, jest ważnym elementem świata przedstawionego. Akcja rozgrywa się w miejscach, które dobrze przeciętny Częstochowianin zna, ale tylko „od zewnątrz”, co tym bardziej intryguje, np. na podwórkach ul. Św. Rocha, pustostanach Zawodzia, w melinach okolic dworca PKP, na „trójkącie”, ul. Krakowskiej, Kulach, skrzyżowaniu przy Tesco, okolicach „Mrówkowca” na Tysiącleciu itp. Tłem są ówczesne knajpy zapełnione charakterystycznymi postaciami, częstochowskim szpanerestwem, piwoszami i dziwakami. Do folkloru miejskiego zaliczyłbym festyn nad zalewem w Błachowni i niedzielę na plaży w Poraju. Meliniarska strona miasta nie jest opisywana złośliwie, czy szyderczo, po prostu świetnie wyrysowano drugi plan, dodający wiarygodności fabule. Podziwiam tu autora za tak szeroką wiedzę środowiskową.

Momentami czyta się „Króliczka” jak powieść o dojrzewaniu dla młodzieży, wchodzeniu w dorosłość, lecz nie zawęziłbym tu kategorii wiekowej odbiorcy, choćby dla sentymentu, jaki może wywołać lektura u osób starszych. Nie doszukiwałbym się jednak w niej śladów powieści pokoloniowej czy lokalnych rozliczeń, chociaż niejednego jego rówieśnika może w książce odnaleźć kawałek swojego świata, świata który odszedł już w przeszłość, bo lata 90. to już tak naprawdę historia. Dudek potrafi żywo oddać charakter postaci, choć widać u niego praktykę pisania dla pism kobiecych, bo sfera psychologiczna uproszczona jest momentami wyłącznie do świata uczuć. Dynamiczna akcja (jej motorem jest głównie dzielny i nie idący na kompromisy narrator) równoważy braki głębi, nadaje cech literatury przygodowej. Dla jednych może to być minus, a drudzy mogą uważać to za dobrą szkołę pisania.

Trochę mi brakowało takiej książki w Częstochowie, bo do tej pory mieliśmy historie o narkotykach, kryminały, komatantkę i sagi historyczne. Dudek to trochę inna jakość, do tego napisana prosto, potocznie, z dużą ilością szczegółów topograficznych, które miejscowych czytelników szczególnie cieszą. Częstochowa jest tutaj przykładem miasta średniej wielkości w centralnej Polsce, jednym z wielu i podobnym do innych. Ani lepszym, ani gorszym. Jako plener się sprawdziła. Zachęcam Dudka, by pisał dalej w tym stylu, bo w tym mieście jest głód takiej prozy.

Elżbieta Hurnikowa

Dom Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej

9 maja bieżącego roku otwarto w Częstochowie Dom Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej. Mieści się przy ul. Jasnogórskiej 23, w budynku, w którym po wojnie zamieszkała rodzina Mygów. Halina, a właściwie Helena Myga urodziła się 9 maja 1935 roku przy ul. 7 Kamienic; przypomina o tym wisząca od niedawna obok bramy tablica ukazująca głowę poetki oraz zawierająca słowa z jej wiersza.

Wszyscy, którzy interesują się życiem i twórczością autorki *Hymnu bałwochwalczego*, wiedzą, że zmarła ona przedwcześnie, mając zaledwie 32 lata. Większość życia spędziła na walce z chorobą serca, jakiej nabawiła się w wyniku anginy przebytej u schyłku wojny, na pobytach

w szpitalach i sanatoriach. Przebywała często poza rodzinnym miastem. W roku 1958, dzięki pomocy wielu ludzi dobrej woli, mogła poddać się operacji serca w Stanach Zjednoczonych, gdzie pozostała do lipca 1961. Studia tam rozpoczęte kontynuowała po powrocie do kraju, na Wydziale Filozoficzno – Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie; w roku 1964 rozpoczęła pracę jako asystent. W roku 1966 spędziła wakacje w Jugosławii, jesienią wyjechała na kilkutygodniowe stypendium do Paryża. W rok później, ze względu na pogarszający się stan zdrowia, poddała się kolejnej operacji serca, tym razem w warszawskim Instytucie Gruźlicy. Zmarła 11 października 1967 roku; pochowana została na cmentarzu św. Rocha w Częstochowie.

W domu przy Jasnogórskiej Poświatowska przebywała zatem rzadko, ale rodzina – matka, Stanisława z Ziębów, ojciec Feliks, młodsza siostra Małgorzata (Teresa Małgorzata), brat Zbigniew – była dla niej bardzo ważna. Świadczą o tym dobitnie opublikowa-

ne listy poetki do rodziny i przyjaciół (H. Poświatowska, *Dzieła*, t. 4: *Listy*, pod red. M. Roli, B. Górskiej, Kraków 1998). Mocne więzi łączyły Halinę z matką, która stale czuwała nad jej zdrowiem, była przyjaciółką i powiernicą. To jej dedykowała autobiograficzną książkę *Opowieść dla przyjaciela* (Kraków 1967): *Matce mojej, bez której pomocy i zachęty te wspomnienia nigdy nie byłyby spisane*. Kiedy poetka w roku 1954 wyszła za mąż za Adolfa Poświatowskiego (zmarłego w niespełna dwa lata po ślubie), zamieszkała wraz z mężem w rodzinnym domu. Tu był ogród, a w nim ulubiona akacja, wspominana w listach, i zwierzęta.

Po Halinie Poświatowskiej zachowało się niewiele

materiałnych pamiątek; nie miała dość czasu, by stworzyć swoje własne miejsce do życia, wypełnić je przedmiotami codziennego użytku, mniej lub bardziej ważnymi. Śladem jej egzystencji pozostaje przede wszystkim twórczość. Trzy zbiory wierszy wydane za życia (*Hymn bałwochwalczy*, 1958; *Dzień dzisiejszy*, 1963; *Oda do*



rajk, 1966), jeden wydany pośmiertnie (*Jeszcze jedno wspomnienie*, 1968), proza autobiograficzna, opowiadania, dramaty (w tym nieukończone) – to plon intensywnej pracy twórczej. Jest ona najważniejszym świadectwem bogatego życia wewnętrznego, przeżyć, doznań, uczuć. Dlatego muzeum poświęcone poetce nosi nazwę Dom Poezji; w pełni przylega ona do funkcji, jaką placówka ta ma pełnić.

Twórcy ekspozycji dążyli do tego, by poetka zaistniała tu na różne sposoby, by przestrzeń muzeum wypełniły zachowane pamiątki, fotografie, wiersze, głos Haliny. Wykorzystano w tym celu środki, dzięki którym słowo współegzystuje z barwą i dźwiękiem. Każde pomieszczenie ma tu ściśle określone przeznaczenie. W dawnej sieni, pomalowanej obecnie na kolor żółtawo-złoty, zawieszono są plansze prezentujące fragmenty kilku najbardziej znanych wierszy Poświatowskiej; wprowadzają one w poetycki klimat tego domu. Na wprost wejścia widnieje wykonana w dużym powiększeniu fotografia autorki *Ody do rąk*, ukazująca jej postać zwróconą twarzą ku wcho-



dzącym. W niewielkim pokoju po prawej stronie umieszczonych zostało 6 gablot, w których znajdują się dokumenty pozostałe po Poświatowskiej oraz fotografie. Materiały te związane są z różnymi etapami życia poetki – z dzieciństwem, z okresem małżeństwa, z operacją przeprowadzoną w Stanach Zjednoczonych, ze studiami w Smith College, z Krakowem, wreszcie z ostatnim rozdziałem życia, z Częstochową, podróżami, przyjaciółmi. Można tu też obejrzeć obraz Adolfa Poświatowskiego „Akt z kotem”, oraz przedmioty przywiezione ze Stanów Zjednoczonych: kolaż „Juliusz Cezar” i maszynę do pisania. Pomieszczenie to pomalowane jest na kolor czerwony, pozostałe dwie sale emanują różnymi walorami zieleni. Barwy mają znaczenie symboliczne, potęgują kult życia i miłości, jaki wyznaje autorka *Hymnu bałwochwalczego*. W salach tych również zaprezentowane są fragmenty utworów; zostały one naniesione na siatki z tworzywa sztucznego opadające spod sufitu na podłogę. Na niektórych sąsiadują one z fotografiami poetki, na innych z wizjami plastycznymi wskazującymi na związki jej wyobraźni ze światem sztuki. Uzyskano w ten sposób niezwykle efekt wizual-

ny; odnosi się wrażenie, że nie tylko płynnie przenikają się tu różne dziedziny sztuki, ale że przestrzeń muzeum została poszerzona, że przestają istnieć jej granice. Wrażenie to potęguje również ekran, na którym ukazują się różne ujęcia twarzy poetki, oraz efekty dźwiękowe: w muzeum słychać głos Haliny oraz piosenki do jej tekstów. W gablotach umieszczonych w sali zielonej znajdują się pierwsze wydania utworów Poświatowskiej, wybory wierszy, także przekłady, publikacje na temat jej twórczości.

Aranżacja plastyczna jest dziełem artystów plastyków: Włodzimierza Karankiewicza i Tadeusza Koseli, z którymi współpracowali Bożena Mszycza i Zbigniew Myga (obecny gospodarz muzeum). Nadali oni ostateczny kształt materiałom będącym podstawą scenariusza, przygotowanego przez Ięgę Czerkieską i Elżbietę Hurnikową. Ekspozyty pochodzą ze zbiorów Rodziny Poetki.

Częstochowie przybył ważny obiekt. Dom Poezji służyć będzie tym wszystkim, którzy pragną pogłębić wiedzę na temat życia i twórczości Haliny Poświatowskiej, czerpać, być może, inspiracje z jej wierszy, a także tym, dla których poezja jest ważną częścią dnia powszedniego.



Fotografie Leszek Pilichowski

Krzysztof Seweryn Wroński

Jedno słowo

Wielki wybuch.

Drobinka Ziemia,
która uroiła sobie życie.

Człowiek z potęgą języka,
zamykający w jednym słowie
wszechświat.

* * *

żyje
od dnia do dnia
strącając z twarzy
palce nocy

chce być odważny jak święty Jerzy
uważa, że każdy ma jakiegoś smoka
do pokonania

czeka na lato
by spojrzeć w oko małwy
i choć raz napisać
różowy wiersz

* * *

Oswoiłaś mnie
i przestraszyłaś się tego
co zrobiłaś.

Chcesz bym znowu był dziki,
krzesał ogień i polował.
Nie wiem czy podołam,
było nie karmić mnie z ręki.

Krzysztof Seweryn Wroński – poeta, juror konkursów poetyckich, recenzent. Autor czterech tomów poetyckich: „Słowa wierszy” (1998), „Boso w bezsenność” (1999), „Trzecie rozdanie” (2000), „Dojrzewam w milczeniu” (2003)

Sześć glos

* * *

Pacyfik.
Żywej duszy.
Dryfujący okręt
porzucił myśl o porcie.
Przyjmuje śnieg na pokład.
Dla niego jest portem.

Temida

Most tak się zawiesił w sporze między dwoma
brzegami,
ze zgubił sedno – rzekę płynącą między
przesłami.

Niezdobyta

Układ krwionośny – obieg zamknięty.
I twoje serce – obiekt zamknięty.

* * *

łzy spadają w cierpienie
jak krople deszczu w ognisko

syczy nieugaszony ból

* * *

powracasz w snach
łąko dzieciństwa

za rowem rosły olchy
za nimi koniec świata

budząc się zgaduję
po której jestem stronie

Taniec na linie

na wąskich wyboistych drogach
ocieram się o pędzące ciężarówki

zbój wiatr
gna bandę chmur

nad wierzchołkami drzew
gasną usta słońca

Ireneusz K. Korpyś

Częstochowa rozmiłowana w mądrości

W powszechnej świadomości ludzi kręgu kultury Zachodu, filozofii (podanie etymologii tego terminu stałoby się banalnym nadużyciem, tym bardziej zbędnym z uwagi na tytuł niniejszego artykułu) ujmując ją w najbardziej ogólnym i potocznym znaczeniu, została nadana szczególna rola. Postrzega się ją jako naukę pierwszą (zresztą nie bez przyczyny, *de facto* taką była), a co za tym idzie jest synonimem mądrości i wszelkiej nauki. Jeśli by utożsamić filozofię w ogóle z kulturą intelektualną, lub przynajmniej z jej zasadniczym nerwem (co zresztą ma miejsce w świadomości naszego kręgu cywilizacyjnego), należałoby zadać pytanie; jakie związki łączyły Częstochowę z tą pierwszą dziedziną nauki, która „*umiłowała mądrość*”?

Niestety! Częstochowa jako duża aglomeracja miejska i ośrodek akademiki, do tej pory nie spotkała się bliżej z filozofią (jest ona jedynie wykładana jako jeden z przedmiotów dodatkowych na uczelniach humanistycznych, co stanowi przysłowiowy „kwiatek do kożucha” intelektualisty! Nie było takiego kierunku!) Nasze miasto blade wypada na tle innych ośrodków akademickich. Okazuje się w tym ujęciu, że kultura intelektualna Częstochowy nie jest nawet zaściankowa, lecz pogrążona w ludowym prymitywizmie, świętoszkowości i co najwyżej mędrkowaniu filistrów. Ale czy na pewno!?

Czy powyższe stwierdzenie jest nazbyt pochopne i surowe w ocenie? Nie ulega wątpliwości, że Częstochowa ze względu na kult Maryjny i centrum pielgrzymkowe jest powszechnie postrzegana jako *duchowa stolica Polski*. Zresztą, powyższa obiegowa opinia posiada silne uwarunkowania historyczno-kulturowe, o czym wiele zostało napisane. Jednak, czy duchowość w sensie ogólnym (nie tylko Maryjna – choć ta zauważana jest często w naszym mieście również poza okresem pielgrzymkowym) wchodzi w szczególny rodzaj interakcji z kulturą intelektualną? Czy istnieje antagonizm między wiarą, duchowością a racjonalnym myśleniem, może szerzej powiedziawszy – filozofią? Wielu by z pewnością *ad hoc*, w sposób bezrefleksyjny odpowiedziało na powyższe pytanie twierdzą-

co. Taka odpowiedź dla częstochowianina nie byłaby komplementem.

Należy pamiętać, że kultura Zachodnia ma silne oparcie w tradycji chrześcijańskiej. Max Weber (1864–1920) zwraca uwagę na racjonalny charakter naszej kultury w powiązaniu z religią chrześcijańską, *tylko na Zachodzie „nauka” znajduje się na tym stadium rozwoju, które uznajemy dziś za „obowiązujące”*. *Wiedza empiryczna, rozmyślenia nad problemami świata i życia, najgłębsza filozoficzna i teologiczna mądrość życiowa...*¹, wszystko to zdaniem Webera, jest wynikiem mariażu greckiej filozofii z religią chrześcijańską. Rozkwit nauki chrześcijańskiej (sam termin „nauka chrześcijańska” jest dyskusyjny) w średniowieczu przebiegał również z nadaniem filozofii szczególnego rodzaju znaczenia. Co prawda, podówczas filozofia określona została jako *philosophia ancilla theologiae*, co jedynie pozornie i w zawężeniu do pewnego okresu oddaje jej służebny charakter względem teologii. W końcu, jak zauważa M. Perek *i w nauce, i w religii chodzi w pierwszym rzędzie o prawdę*². Zresztą układ studiów teologicznych zakłada przywiązanie szczególnej uwagi przez pierwsze dwa lata do filozofii. Wynika stąd, iż związek między intelektualnym wymiarem religii, konkretyzując teologią, a filozofią jest dość silny.

Z powyższego wynika również, że określenie *duchowej stolicy Polski* jako *ciemnogrodu* nie jest uprawnione. Związki Częstochowy z filozofią istnieją, choć są nie imponujące i dość pobieżne. Z racji funkcjonowania w mieście Wyższego Seminarium Duchownego oraz Instytutu Teologicznego afiliowanego do Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie zauważana jest swego rodzaju interakcja teologii i filozofii, co wpływa nie tylko na kształconych we wspomnianych uczelniach ludzi, ale oddziałuje znacznie szerzej na region.

Innym niezwykle istotnym wkładem w rozwój częstochowskiej filozofii była działalność Władysława Biegańskiego. Był on m. in. nauczycielem logiki w częstochowskich szkołach średnich oraz autorem obszernego podręcznika logiki, teorii poznania i etyki. Biegańskiego częstokroć określa się jako „filozofa bez katedry”. Trafnie! Jego osiągnięcia w dziedzinie filozoficznej choć były niebanalne,

¹ M. Weber, *Osobliwości kultury zachodniej*, [w:] *Szkice z socjologii religii*, przeł. J. Prokopiuk, H. Wandowski, Warszawa 1983, s. 70.

² M. Perek, *Apokryficzność w nauce*, „*Biuletyn Instytutu Filozoficzno-Historycznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie*”, nr 31, 2002, s. 106.

nazbyt często są pomijane i marginalizowane nawet wśród mieszkańców Częstochowy.

Faktycznie, Częstochowa na przestrzeni dziejów nie była silnie związana z działalnością filozoficzną, co w bieżącym roku ma się zmienić. Staraniami władz Akademii im. Jana Długosza, na wydziale pedagogicznym powołano licencjackie studia filozoficzne. Nowy kierunek nie tylko w oczywisty sposób poszerza ofertę edukacyjną tejże uczelni, ale również wypełnia wstydliwą lukę w organizacji studiów wyższych naszego miasta.

Pierwszy zryw rekrutacyjny został podjęty już w poprzednim roku akademickim. Jednak wówczas z różnych powodów do otwarcia tegoż kierunku nie doszło.

Ku zaskoczeniu nie tylko pomysłodawców i organizatorów nowego kierunku na AJD zainteresowanie filozofią w bieżącym roku okazało się spore. Jest to inicjatywa, którą należy wysoko ocenić. Częstochowa wreszcie doczekała się *stricte* uniwersyteckiego kierunku, który jest tyleż nobilitujący, co wymagający.

Czy jest to kolejny krok częstochowskiej uczelni – jak chcą niektórzy – do powołania uniwersytetu? Takie przedstawienie sprawy studiów filozoficznych jednak było by nadużyciem. Co prawda, w oczywisty sposób otwarcie nowego kierunku, choć istotnego, nie przybliży Częstochowy do miana miasta uniwersyteckiego, jednak jest to szlachetna inicjatywa, która podnosi prestiż zarówno miasta, jak i Akademii.

Pozostaje teraz zastanowić się, jaką rolę odegrają elity intelektualne, absolwenci „częstochowskiej filozofii”. Niechaj będą przestrogą słowa wybitnego filozofa Etienne Gilsona (1884–1978): *obecny chaotyczny stan filozofii, pociąga za sobą chaos moralny, społeczny, polityczny oraz pedagogiczny, nie jest związany z jakimś brakiem filozoficznej intuicji u współczesnych myślicieli; wypływa on po prostu z faktu, żeśmy zagubili naszą drogę, gubiąc poznanie fundamentalnych zasad. Skoro zasady te są prawdziwe, są zarazem jedyne, na których tak dzisiaj, jak i w dniach Platona można ugruntować filozoficzne poznanie, godne swego mistrza*³. Te słowa współcześnie nie straciły na ważności i stają się memento dla podejmujących studia filozoficzne. Miejmy nadzieję, że młodzi adepci nauki „rozmiłowanej w mądrości” dotrą do prawdy, do „fundamentalnych zasad”. Pierwszy krok ku temu został uczyniony poprzez powołanie tychże studiów. Czego gratulujemy i życzymy dalszych postępów w tym kierunku.

³ E. Gilson, *Bóg i filozofia*, przeł. M. Kochanowska, Warszawa 1982, s. 9.

Inny sposób myślenia

Monika Adamska-Staroń, Małgorzata Piasecka, Beata Łukasik



Inny sposób myślenia o edukacji Metaforyczne narracje



„Inny sposób myślenia o edukacji. Metaforyczne narracje” - tak brzmi tytuł niezwyklej pracy trzech częstochowskich autorek, związanych zawodowo z Akademią im. Jana Długosza: Moniki Adamskiej-Staroń, Małgorzaty Piaseckiej i Beaty Łukasik.

„Edukacja człowieka przez jego własne artystyczne konkretyzacje, przez jego własne zaangażowanie sprzyja rozwojowi człowieka jako istoty myślącej, wrażliwej, twórczej, którego myśli i działania wykraczają poza schematy, sprzyja ewolucji edukacyjnej świadomości, otwiera na różnorodność wartości, jest samokształceniem człowieka, obroną przed dehumanizacją, kształceniem poezji jego istnienia” – czytamy we wstępie książki, wydanej właśnie przez krakowską oficynę „Impuls”.

Niezwykłość tej pracy polega, w największym skrócie, na przebojowym propagowaniu innowacyjnych metod edukacyjnych. Takie podejście, zaprezentowane przez adiunktki AJD, niesłusznie postrzeganej często jako uczelnia prowincjonalna, świadczy o żywej i twórczej myśli naszej kadry naukowej. (ram)

Tadeusz Gierymski

O języku (nie tylko) telewizji

Nogi mam sztywne jak bocian, przebywam więc ostatnimi czasy przeważnie w domu. Nuda. Tęsknię za świeżym wiatrem, szerokim krajobrazem, zapachem drzew, dźwiękami ptaków. Telewizja. Paplanie polityków., ich wykrzywione twarze. Głupawe kabarety i filmy. Po prostu TV traci dobry smak, idiocjeje, kłamie. Na tym tle kretynska „Rodzina Kiepskich” wydaje się wnikliwym dziełem, realistycznym...

Oglądam programy publicystyczne, chociaż z góry wiem, co kto powie. Śledzę przeto nie meritum, lecz sprawność językową dziennikarzy, spikerów, narratorów filmowych, słowem ludzi, którzy z językiem polskim powinni być za pan brat. Niestety, tak nie jest. Błędy stylistyczne, a nawet gramatyczne, zdarzają się tak często jak deszcz na przełomie lipca i sierpnia br. Przez dwa dni oglądałem (a raczej słuchałem) telewizji pod kątem poprawności językowej. Język dziennikarski powinien być zwięzły, lapidarny. Ja natomiast słyszę: „w miesiącu maju”, „w dłuższym okresie czasu”, zamiast: w maju, w czasie (lub w okresie) itp. Masła maślane. Z inne telewizyjnej szpuli: „uległo polepszeniu”, „zagłębienie truskawkowe” (cóż za dziwolaż językowy!). Jeśli uległo, to tylko pogorszeniu, nigdy polepszeniu! Jedna ze spikerek kilka razy użyła określenia „zagłębienie truskawkowe”. Gdyby zastanowiła się nad źródłosłowem „głęb” czyli coś nie nad lecz pod ziemią – powiedziała by inaczej. Może być zagłębienie węglowe, miedziowe, nigdy truskawkowe! Podobnie wyżej cytowany czasownik „ulec”. Stąd słowa pokrewne: poległ, legł, leżeć itd. Przeto, gdy coś poległo, nie może jednocześnie „ulec poprawie”.

Fonetyka. Postuluje m.in. poprawne mówienie. W naszym języku mamy wyjątkowo dużo spółgłosek. Gdy się zbiegną w jednym wyrazie, artykulacja bywa trudna, aczkolwiek z ich wymową dziennikarze uporać się powinni. Często jednak tak nie jest. I wtedy słowo „Trzeba” brzmi „czeba”, „strzecha” jak „czecha”, „potrzeba” jak „poczeba” itd. Przykładów uproszczenia grup spółgłoskowych usłyszałem dużo więcej.

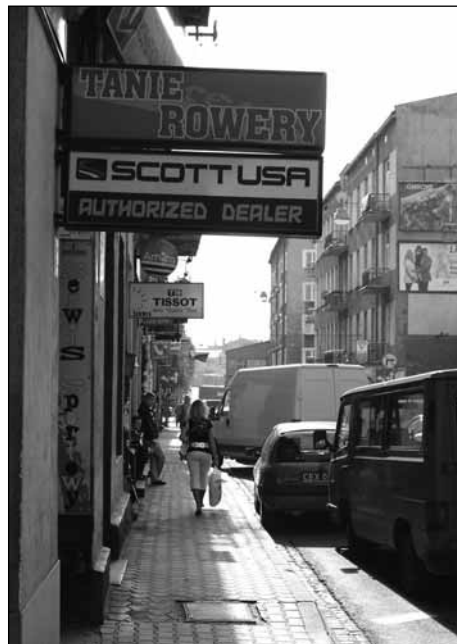
Ostatnio modny stał się przysłówek „kolokwialnie”. Używają go w nadmiarze i często zbytecznie nie tylko dziennikarze telewizyjni, także politycy, radiowcy itp. „Piłkarz X już w pierwszej połowie meczu, mówiąc kolokwialnie, wypadł z gry”. Oto pierwszy przykład, gdzie zwrot „Mówiąc kolokwialnie” jest zupełnie niepotrzebny. A jednak ten przysłówek rozpanoszył się niepomiarnie w żywej mowie dziennikarzy.

Podobnie bezsensowne było zdanie, jakie usłyszałem przy omawianiu jakiegoś filmu: „Dzięki ulewie, nie mogli wyjść z domu”. Za co i komu było dziękować? Że burza, deszcz, zatrzymanie w domu? Autor tego nielogicznego zdania jakby nie rozumiał znaczenia „dzięki”. Aż się prosi, żeby powiedzieć: wskutek, na skutek, z powodu, z przyczyny...

Pewna dziennikarka powiedziała: „Biskup X od dawna opowiadał się za Radiem Maryją”. Błąd karygodny. W „Radiu Maryja” deklinuje się tylko pierwszy człon: radio, drugi pozostaje przez wszystkie przypadki taki sam (tj. w mianowniku).

Jeśli już zatrąciłem o Kościół – to małe przypomnienie. Jan Paweł II podczas pobytu w swej Ojczyźnie, w jednej z homilii użył słowa „ubogacić”. Zajrzałem do trzech słowników języka polskiego. Znalazłem tylko „wzbogacić”, bez przedrostka „u”. Jednakże czasownik „ubogacić” pod względem słowotwórczym jest poprawnie zbudowanym wyrazem. Mamy przecież: jechać – ujechać, kochać – ukochać, żebrać – uzebrać itd. Dziwi mnie tylko, że księża w ogóle wyeliminowali czasownik „wzbogacić” na rzecz „ubogacenia”. W swoich kazaniach używają wyłącznie tego drugiego czasownika. Dla mnie natomiast niech by „ubogacić” odnosiło się tylko do wzbogacenia duchownego, moralnego. Tylko i wyłącznie.

Nie wiem, czy niektóre nieprawidłowości językowe były tylko błędami, przypadkowymi potknięciami, czy dziennikarza mówili je świadomie. Np. „za wyjątkiem” zamiast: „z wyjątkiem”, „odgrywać znaczenie” zamiast: „mieć znaczenie”, „lubiał” zamiast: „lubił”, „po półto-rej miesiąca” zamiast: „po półtora miesiąca”...

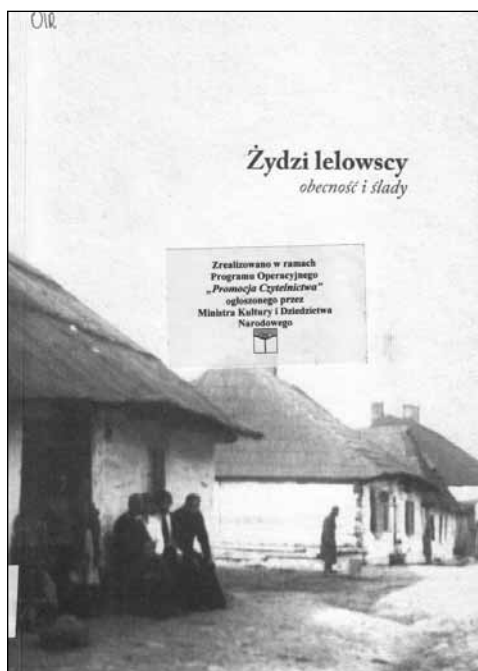


Fot. Zbigniew Burda

Szyldy w mieście przyprowadzają o ból głowy. To po polsku, czy po obcemu? Poprawnie czy niepoprawnie? I co to w ogóle znaczy?

Warto przejrzeć/przeczytać

Żydzi lewoscy : obecność i ślady : materiały z sesji popularnonaukowej zorganizowanej przez Lewoskie Towarzystwo Historyczno-Kulturalne im. Walentego Zwierkowskiego oraz Katedrę Judaistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego w dniu 17 września 2006 roku w Lewosie. – Kraków: Wydawnictwo "Austeria": 2006. – 129 s.: il.; 25 cm



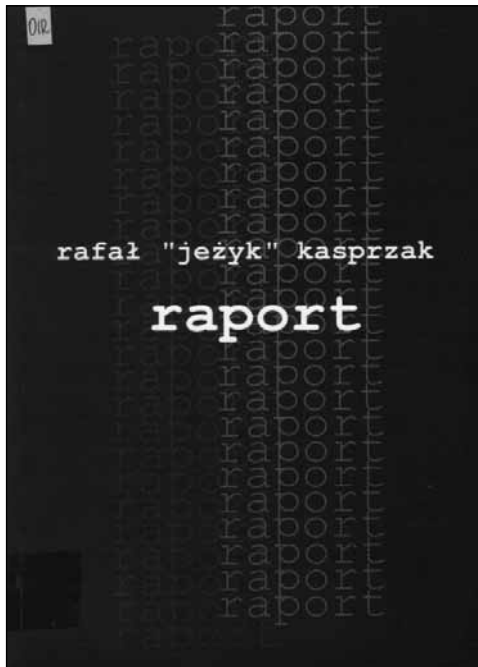
Od kilku lat obserwujemy coroczne zjazdy chasydów przy grobie cadyka Dawida Bidermana (Lewosera) w Lewosie. Powrót izraelskich i amerykańskich Żydów do swych polskich korzeni zaowocował książką, będącą zapisem sesji naukowej, której patronowała katedra judaistyki UJ. Książka zawiera sześć publikacji, z których można poznać historię lewoskiej społeczności żydowskiej, postać cadyka Dawida, jak i też kulturowe implikacje wywołane przez powroty ocalonych z Shoah. Dla miłośników historii regionu książka niezwykle cenna.

Jedni z najdzielniejszych: żołnierze 74 Górnosłaskiego Pułku Piechoty WP 1918-1939 74 Pułku Armii Krajowej 1944-1945 / Zbigniew Zieliński. – Warszawa: Oficyna Wydawnicza „Rytm”, 2006. – 289 s., [48] s. tabl.: fot., mapy; 22 cm



Prezentujemy pozycję, stanowiącą prawdziwą gratkę dla miłośników najnowszej historii regionu. Jej autorem jest Zbigniew Zieliński, historyk o uznanym dorobku. Jego najnowsza praca dotyczy dwóch pułków piechoty, które łączy numer i tradycja, natomiast czas istnienia i walki był inny. Część pierwsza dotyczy 74 Pułku Piechoty z Lublińca, w latach 1922-1939 wchodzącego w skład częstochowskiej 7 Dywizji Piechoty, jednostki, której walki wrześniowe na Ziemi Częstochowskiej i Kielecczyźnie zapisały się złotymi zgłoskami w dziejach polskiego oręża. Część druga dotyczy oddziału Armii Krajowej utworzonego 1 sierpnia 1944 r. w ramach Akcji „Burza”, wchodzącego w skład odtworzonej 7 częstochowskiej Dywizji Armii Krajowej. Oddział, kontynuujący tradycje 74 Pułku Piechoty, utworzyły oddziały partyzanckie AK z obwodu włoszczowskiego i radomszczańskie. Publikacja zawiera dobrze opracowaną, szczegółową historię walk pułku, oraz wiele not biograficznych uczestników walk.

Raport / Rafał „Jerzyk” Kasprzak. – Częstochowa : Drukarnia Częstochowskie Zakłady Graficzne, 2007. – 61 s.; 21 cm



Trzeci z kolei poetycki tom Rafała Kasprzaka (ur. 1973 r.) dowodzi, że poeta ten rozwija swój talent konsekwentnie. Publikowane w tomie „Raport” teksty to poezja sprawna warsztatowo, emocjonalnie i intelektualnie dojrzała. Bardzo dużo w tych tekstach refleksji, czasem gorzkiej, czasem ironicznej nad przemijaniem, poezją, sobą samym wreszcie. W jednym z wierszy Kasprzak pisze „Mój bunt dawno przeminął” i ten cytat może wystarczyć za pointę. Poeta wkroczył w czas twórczej dojrzałości.

Słowem i dźwiękiem / Stanisław Sypek. – Warszawa : „Cinderella Books”, 2007. – 156 s.; 20 cm

Urodzony w Częstochowie (1932) Stanisław Sypek znany jest jako muzyk, kompozytor, pedagog i długoletni publicysta „Ruchu Muzycznego”, nie stroni jednak i od twórczości literackiej. Wydany w tym roku tomik „Słowem i dźwiękiem” zawiera wybór jego esejów, artykułów prasowych, opowiadań i wspomnień, pochodzących z różnych okresów życia autora. Wśród publikowanych tekstów nie brakuje „czenstochowianów”, bardzo cennych dla wszystkich interesujących się życiem kulturalnym naszego miasta.

Książę Władysław Opolczyk: fundator klasztoru Paulinów na Jasnej Górze w Częstochowie / red. Marceli Antoniewicz, Janusz Zbudniewek. – Warszawa : Wydawnictwo DiG, 2007. – 382 s.; 21 cm



Pokłosie sesji naukowej odbytej w Częstochowie w grudniu 2001 roku. Zawiera 11 referatów opracowanych przez wybitnych znawców przedmiotu – Kazimierza Dole, Leszka Wojciechowskiego, Wojciecha Kurpika, Janusza Zbudniewka, Jana Kopca, Marcelego Antoniewicza, Aleksandra Świeżawskiego, Jana Tęgowskiego, Idziego Panicę, Jerzego Sperkę i Hermana Weidhaasa. Jest to z pewnością jedna z najcenniejszych publikacji ostatnich lat w zakresie historii regionu, porządkująca wiedzę na temat początków Częstochowy i klasztoru jasnogórskiego oraz niezwyklej, barwnej postaci księcia opolskiego. Rzecz tym bardziej cenna, że wokół księcia Władysława, postaci niejednoznacznej, narosło wiele kontrowersji, przeinaczeń i nieporozumień.

Oprac. Zbigniew Stańczyk

Zbislaw Janikowski

PODWÓRKOWE ZABAWY

Schyłkowy czas wiosenny, a raczej początek lata otwierał czas kolejnych przygód. Nim dojrzewiały owoce zaczynały kusić i zachęcać do wyprawy na „dzierzawę”, monotonię podwórkowych dni wypełniały gry, w tym jakże popularne w „trąca” lub „kopę”. Póki reforma waluty (1953?) nie wprowadziła do obiegu „prawdziwego” bilonu, grywało się starymi przedwojennymi obiegowymi monetami. Nikłowe złotówki, także 50- i 20-groszówki, wojenne pięciogroszówki z dziurką, trafiały się nawet carskie miedziane trzykopiętkówki. Te ostatnie nie znajdowały uznania, ze względu na swą wielkość i miękkość metalu, źle reagowały na uderzenie żelazną, ciężką „kopą”.

Dobra kopa stanowiła o sukcesach w grze. Kopę robiono z kawałka grubej na około trzy milimetry żelaznej blachy, była okrągła o kilkucentymetrowej średnicy, odpowiednio uformowana (wyklepana), służyła zaś do uderzenia w leżący na ziemi pieniążek, który musiał obrócić się na swą przeciwną stronę, by stać się własnością zagrywającego. Jeszcze lepsza była kopa pięciokątna lub jak kto woli pięcioboczna, ta przy niefortunnym rzucie nie odtaczała się zbyt daleko od celu.

Trudno mi w tej chwili odtworzyć wszystkie zasady i prawa tej podwórkowej gry-zabawy. Regulaminy (oczywiście nigdzie nie zapisywane) były nadzwyczaj skomplikowane, odległość rzutu i inne zasady zmieniały się w zależności od tego, kto, z kim i o co grał, zresztą każde podwórko, a czasem jego część rządziła się swoimi prawami.

Skąd braliśmy pieniążki? Te stare leżały w szufladach w niejednym domu, niejedna babcia lub ciocia, która w wyniku kolejnych dziejowych zawieruch straciła zaufanie do carskich czy przedwojennych pieniędzy, oddawała je bez żalu a nawet z satysfakcją, że jeszcze na coś się przydadzą, a w wyniku operacji grania niejedynemu numizmat przestał być numizmatem.

Dużo trudniej było z kopą, ten poszukiwany przyrząd można było sporządzić samemu, jeśli posiadało się odpowiedni kawałek metalowej blachy. Trzeba było godzinami klepać młotkiem, aby nadać mu odpowiedni kształt, odpowiedni profil, tchnąć duszę w kawałek zimnego, twardego metalu. Taki skarb noszony w kieszeni napawał właściciela dumą, niejednokrotnie budował jego prestiż, stawał się obiektem pożądania i zazdrości. Kopę można też było nabyć od kolegów - były to zazwyczaj szalenie skomplikowa-

ne transakcje wymienne, poprzedzone długotrwałymi negocjacjami. Oglądając dzisiejszy teatr polityczny odnoszę nieodparte wrażenie, że niejedynemu wielki talent, wielka gwiazda polityki wywodzi się w najprostszej linii z naszych lub podobnych podtrzępawych towarzystw zabaw i poczyńań. Wracając do rzeczony kopy – byli szczęśliwcy, którzy mieli ojca lub brata pracującego w jakimś metalowym zakładzie, rozumiejącego na dodatek potrzeby młodego przedsiębiorczego człowieka, ci dostarczali mu półfabrykaty lub zgoła gotowe, niemal „fabryczne” cudenka, oczywiście na sprzedaż.

Ta wspaniała gra nie znajdowała uznania u dorosłych, a już u nauczycieli w szczególności. Zwalczali - niczym ministerstwo oświaty narkotyki - pociąg do zakazanej gry, posuwali się do kontroli (żeby nie powiedzieć: rewizji) teczek a nawet kieszeni, oczywiście każde znalezisko bezwzględnie rekwirowali. Chodzili niczym nie poparte opowieści o Panu Profesorze x, w którego szufladzie znajduje się kilkadziesiąt skonfiskowanych, wspaniałych kop, o worku zabranych starych pieniędzy nie wspominając. W pewnym momencie nauczyciele (a stało się to za sprawą reformy waluty) zyskali sprzymierzeńca w Milicji Obywatelskiej, która wystąpiła w ochronie narodowego pieniądza i z urzędu zaczęła zwalczać grających w kopę. Czy to niewystarczający powód do lustracji ciał pedagogicznych?

Równie popularna stała się gra w „trąca”. Ta rozwijała się żywiołowo, właśnie na bazie nowego, silnego pieniądza. Wystarczył kawałek gładkiego muru, najlepsza była licowa klinkierowa cegła, od której odbijało się monetkę, bardzo precyzyjnym uderzeniem tak wymierzonym, aby rantem odbiła się od muru pod zamierzonym kątem. Sztuka polegała na celnym trafieniu w monetę leżącą na ziemi lub w jej bezpośrednie sąsiedztwo. Gracze dokonywali skomplikowanych pomiarów, odległości odmierzało się stopami, znaczyło śliną na butach każdy centymetr, pomocne były palce, a i tak gracze byli w stanie nieustannej kłótni. Wszelkie pomiary były specjalnością naszego kolegi Mietka, on jak nikt umiał naginać wszystko na swoją korzyść, linię prostą w miarę potrzeb potrafił niemal zapętlić, w obliczeniach też zawsze wynik był korzystny dla niego. Dziś sędzę, że w jego rękach wzorzec metra miałby (w zależności od potrzeb) 80 do 143 centymetrów i byłoby dobrze.

Wszystkie te gry dobre były na dni pogodne, w deszcz lub tuż po deszczu, w błocie rozgrywki zawieszaliśmy. Pozostawały karty – „sześćdziesiąt sześć”, „tysiąc”, a czasem bardzo hazardowy „bączek”. Do kartografstwa zasiadaliśmy najczęściej w obszernej niszy okiennej ogromnej staroświeckiej klatki schodowej model 1905. Że nie było wygodnie, że połowa miejsc dla graczy to miejsca stojące, że



Arkadiusz Zajac

dzięki temu jeden drugiemu zaglądał w karty, że bolały nogi, wszystko to nic, gra toczyła się wartko przerywana przez interwencje lokatorów, gdy poziom głośności naszych dyskusji przekraczał łoskot jadącego pociągu. Karty też nie prezentowały poziomu gabinetowego, wymięte, powyginane, pozalamywane, z oberwanymi rogami. Każdy mógł domyślać się, że są znaczone – bo były, ilość znaków była jednak tak ogromna i przybywało ich z każdym rozdaniem, że w konsekwencji sam diabeł nic by z nich nie wynioskował. We wszystkich tych szachrajstwach celował nasz Mietek, który dodatkowo wywoływał kolejne sprzeczki, chwytając się wszystkich możliwych sposobów, żeby wygraną przybliżyć do siebie.

Na znacznie wyższym poziomie, w dodatku z intelektualnym zacięciem, stała gra w „szubienicę”, czyli popularne „kółko i krzyżyk”. Udanie postawione w jednej linii trzy jednakowe znaki przekreślało się jednym pociągnięciem i przeciwnik „wisiał”. Wygrywał ten, który za każde skreślenie dorysowywał do swojej szubienicy rysowanej w rogu kartki jedną kreskę, budując szafot, by potem powiesić na nim przeciwnika. Ta dwuosobowa gra gromadziła czasami grono rozwrzeszczanych kibiców, a to kończyło się zawsze interwencją lokatorów miłujących spokój i ciszę w domowych pieleszach.

Inną wysoce intelektualną rozrywką była bardzo rozpowszechniona gra w „okręty”. Narysowanie pola walki, czyli dwóch jednakowych kwadratów o boku 5 centymetrów każdy (dziesięć małych kraterów w zeszycie) oznaczonych w poziomie i pionie literkami i cyframi. Na jednym polu rozmieszczało się własną flotę, czyli własne okręty: jeden czteromasztowiec, dwa – trzymasztowce, trzy – dwumasztowce i cztery jednomasztowce. Sąsiednie pole było akwenem zajęty przez flotę przeciwnika, a jej rozmieszczenie to najściślejsza wojenna tajemnica. Grający ostrzelali się wzajemnie poszukując ukrytych celów, obowiązywała przy tym uczciwość i lojalność, trafiony musiał ujawnić ten fakt przeciwnikowi i tak: „A3”, odpowiedź – „pudło”, „G6” – „trafiony nieskończony”, aż do skutku, aż do unicestwienia przeciwnika. Wspomniałem tu o uczciwej grze, przeważnie była uczciwa, jednak nasz Mietek i tu umiał oszukiwać, co polegało na tym, że Mieciu nie rysował od razu wszystkich okrętów, toteż trafienie było z reguły niemożliwe. Oszustwa nigdy nie udało mu się ukryć, bo przeciwnicy bywali sprytniejsi od niego i szybko demaskowali Mietkowe szachrajstwa. W efekcie Miecio opuszczał plac boju pobity nie tylko na morzu, ale i po d...

Gra w okręty była dobra nie tylko na złą pogodę, wspaniale sprawdzała się w szkole na nudnych lekcjach. Niestety, gracze czasami się zapominali

i w gromnej sennej lekcyjnej ciszy rozlegało się tubalne: H5. Oj, działa się wtedy, działa!

Wysoko stawiała również porzeczkę gra w „inteligencję”. Nie trudno się domyślić, że nie wszyscy grający byli na odpowiednim właśnie intelektualnym poziomie, nie znali nazw państw, stolic, zwierzaków, o wielkich czy raczej znanych ludziach nawet nie ma co mówić.

Za każdym razem, bez względu na rodzaj toczony gry czy współzawodnictwa bawiliśmy się doskonale, a niemal każda z tych rozgrywek kończyła się co najmniej swarami.

Czasami zajmowaliśmy się typowo dziewczęskim zabawami, graliśmy w klasy. Zasady były jednak zupełnie inne, oparte na wyjątkowej sprawności fizycznej. Preferowany był skok z miejsca na bardzo odległe pole, przy tym na tyle precyzyjny, by nie nadeprnąć linii, nie stracić równowagi a przede wszystkim honoru.

Najbardziej męską z męskich gier była gra w „noża”. Kilku graczy siedziało na ziemi lub w kucki, niektórzy klęczeli – technika była dowolna – i toczyło zacięty bój, wymagający niemałej sprawności. Szczyryk (a nie każdy nadawał się do tego celu) należało technicznym rzutem wbić w wyznaczone boisko, czyli kawałek twardej gładkiej ziemi między kręgiem zawodników. Wygrywał ten, który pierwszy wykonał serię skomplikowanych rzutów, uzyskując za każdym razem trafienie, czyli wbijając podrzucony nóż w ziemię. A rzuty były co najmniej skomplikowane, nóż musiał wykonać w powietrzu klasyczne salto i opadając wbić się ostrzem w boisko. Zaczynało się od zwykłej „piąstki”, później różne wymyślne pozycje „widelki”, „prztyki”, „czółka”, „noski”, „bródki”, „serduszka” i wszystkie inne figury, które dziecięca fantazja podpowiadała. Jedną z trudniejszych figur były „zabki” – ostrze chwytano się zębami i przy szybkim odrzuceniu głowy do tyłu wyrzucało nóż w powietrze, a ten po wykonaniu odpowiedniej ewolucji miał wbić się w ziemię. Przy tym i przy innych rzutach nóż nie zawsze wbijał się pionowo i wtedy dochodziło do skomplikowanych pomiarów, by ustalić czy rzut można zaliczyć, czy nie. Z reguły nóż powinien zająć pozycję odchyloną minimum na dwa palce od poziomu – to wystarczało do wywołania awantury o rzetelność pomiaru. Nasz Mietek przeważnie był pacyfikowany przez starszych kolegów, pochlipywał potem, ale placu gry nie opuszczał. Mistrzowie tej podwórkowej dyscypliny sportu trenowali całymi dniami, przeważnie w samotności, potrafili potem wykonać imponującą serię zaliczając za jednym podejściem całą najbardziej rozbudowaną i skomplikowaną serię.

Zbislav Janikowski

Tradycje, rocznice ...

Obchodziliśmy rocznice. Wrzesień to pamięć o żołnierzach i bohaterach. Wielu z nich chodzi jeszcze po naszych ulicach...



Dożynki

Dożynki Ogólnopolskie na i przy Jasnej Górze jak zawsze zgromadziły tłumy rolników i miesz-



60-lecie Plastyka

60 lat istnienia świętował częstochowski Plastyk. Wśród absolwentów dzisiejszego Zespołu Szkół Plastycznych im. Jacka Malczewskiego znajdują się wybitne postaci świata sztuki, artyści i profesorowie akademicy, m.in. Jerzy Duda-Gracz, Jerzy i Maciej Kędziorowie, Roman Lonty, Dariusz Pała, Marian Michalik, Zbigniew Sprycha, Andrzej Desperak, Adam Patrzyk, Andrzej Koss, Andrzej Głowacki.

Od 2002 roku Zespół Szkół Plastycznych im. Jacka Malczewskiego tworzą: Ogólnokształcąca Szkoła Sztuk Pięknych (6-letnia, prowadząca edukację na poziomie gimnazjalnym i ponadgimnazjalnym) oraz Liceum Plastyczne (4-letnie, otwarte dla wszystkich uczniów, którzy skończyli gimnazja).

Absolwenci i uczniowie Plastyka od 60 lat bardzo aktywnie zaznaczają swoją obecność w życiu kulturalnym miasta. Tak trzymać!

Kamienica Kupiecka



Położona w sercu Częstochowy zabytkowa kamienica (Aleja NMP 24), zbudowana na przełomie XIX i X w., została oddana do użytku po „remontie odtworzeniowym”. Według zapowiedzi urzędników, kamienica ma

wrócić do swej dawnej funkcji nie tylko w nazwie (kupiecka). Znajdą tam siedzibę izby handlowo-przemysłowe, Rada Gospodarcza przy Prezydencie Miasta Częstochowy a także restauracja, pomagająca w prowadzeniu rozmów o interesach. Oj, będzie się działo!

czan. Obchodom tradycyjnie towarzyszył wielka wystawa rolnicza i jarmark, na którym można było kupić wszystko. Nie brakowało też artystów. Na fotce muzyk Marcin Pospieszalski kupuje sobie nowy instrument.



Trzecia Aleja

Gorzej z remontem Trzeciej Alei. Nadal nie jest skończony. Jak widać na zdjęciu, wykonawcom udało się sztuka nie lada - kwadraty na projekcie twórczo przekształcili w okręgi. Doceńmy ten wysiłek i nie ciągnijmy „naukowców” po sądach.



Po wernisażu

Pod oddaniem do użytku Konduktorowi budynek Miejskiej Galerii Sztuki wydał się nam jakiś taki odległy i jakby opuszczony...



Anioł w Olsztynie

Olsztyn zafundował sobie anioła. Anioł ma 7 (siedem) metrów wysokości i obowiązek ochronny gminy przed nieszczęściami. Może i u nas powinno powstać coś takiego. Gmina Olsztyn liczy kilka tys. mieszkańców, my sporo więcej, więc i nasz anioł powinien być większy. Najlepiej ogłoszmy konkurs. Może Jerzy Kędziora mógłby wykombinować takiego Anioła nad Częstochową – wielkiego, który sposobem znanym tylko mistrzowi rzeźb balansujących zawisłby nad naszym miastem z rozpostartymi skrzydłami.

Sterowiec nad miastem



odpowiedzi czekamy do 1 kwietnia przyszłego roku.

Aniła nad Częstochową na razie nie mamy, ale z końcem lata zauważyliśmy nad miastem najprawdziwszy sterowiec. Nie wiemy jeszcze, co to znaczy. Czy to już powstało lotnisko i uzyskaliście bezpośrednie połączenie z Nowym Jorkiem, czy to może tylko zwiad Marsjan albo podobnych? Na

Pani Kowalska

Pani Kowalska to jeden z symboli Częstochowy, więc pomysł remontu na skwerze Solidarności wzbudził nasz zachwyt. Ale efekty przeszły wszelkie oczekiwania. W trakcie prac ktoś najwyraźniej ukradł Pani Kowalskiej piłkę. Z tego powodu Pani Kowalska, „jęta szalem” (Fredro), zrywa się w nocy ze swojego miejsca i walczy z granitową kostką. Wiadomo, jak kobieta wpadnie w złość, nic jej nie powstrzyma.



Oświetlona gmina

„Mehr licht” – powiedział Goethe. Nie miał na myśli Częstochowy. We wrześniu zastępca prezydenta naszego miasta, Bogumił Sobuś, odebrał w Warszawie nagrodę, która świadczy o tym, że jesteście „najlepiej oświetloną gminą i miastem 2007 roku”.

Konkurs im. Biegańskiego

XIV Turniej wiedzy historyczno-literackiej zorganizowano w Bibliotece Publicznej im. dr. Władysława Biegańskiego ph. „Władysław Biegański (1857-1917) – życie i dzieło”. W półfinałach wystartowało 21 uczniów z 7 szkół średnich, 10 zakwalifikowano do finału. Komisja konkursowa w składzie: dr Juliusz Sętowski, mgr Bogdan Hennig, mgr Beta Grzanka, przedstawiła ostateczne rezultaty następująco:

I miejsce - Agata NALICHOWSKA (Katolickie Liceum Ogólnokształcące w Częstochowie) - 50 punktów (na 50 możliwych)

II miejsce - Ewelina BASIŃSKA (III Liceum Ogólnokształcące im. dr. Wł. Biegańskiego w Częstochowie) - 50 pkt

III miejsce - Ewelina WÓJCIK (III Liceum Ogólnokształcące im. dr. Wł. Biegańskiego w Częstochowie) - 45 pkt

Kolejne miejsca zajęli: IV - Łukasz SZCZEPANIAK (III LO) - 40 pkt; V - Kinga GÓRA (Zespół Szkół nr 3 w Kłobucku) - 40 pkt; VI - Patrycja IZYDORCZYK (VII LO) - 35pkt; VII - Katarzyna WŁODARCZYK (III LO) - 35 pkt; VIII - Cezary ORLEAŃSKI (VII LO) - 35 pkt; IX - Mateusz KOWALIK (Zespół Szkół Samochodowo-Budowlanych) - 35 pkt; X - Izabela GOŹDZIK (Zespół Szkół im. W.S. Reymonta) - 30 pkt.

Fotografie: Z. Burda, J. Piernikowski, A3



W pierwszym rzędzie, od lewej, tryumfatorka turnieju, Agata Nalichowska

WOREK CZĘSTOCHOWSKI nr 5

Le Vorecq Czenstochovien pod redakcją Janusza Piernikarskiego i Jana T. Podżdama

NAGRODY DLA OBIECUJĄCYCH

Po raz pierwszy zostały przyznane nagrody Ochowa, których nazwa pochodzi od drugiego z legendarnych założycieli Częstochowy (oprócz Częstocha). Są one przyznawane wykonawcom, którzy jeszcze nie nagrali płyty, za najlepszą taśmę demo. Laureatami tegorocznej edycji zostali w poszczególnych kategoriach: muzyka poważna – Krzysztof Nerwetter „Mazurki Haydna”, jazz – The Leszek Gołąb Quintet „Live in Stare Juchy”, rock – Die Kartoffeln Schiessen „Ohydny Jeleń Blues”, hip-hop – Suspensoryk „Psychomasochizm”, metal – Rezun Explosion „Fear of the Black Kabbage”. Nagrodę specjalną Złotego Pęku Kabli otrzymał Waclaw Rubin, który wszystkie nagrodzone osobiście realizował. Laureatom gratulujemy i z niecierpliwością oczekujemy na profesjonalne nagrania.

PRECZ Z KAMERALNOŚCIĄ!

Dowiedzieliśmy się, że w najbliższym sezonie sztandarowym spektaklem Teatru im. Mickiewicza mają być „Nadobnie i koczodany” Witkacego. W sztuce tej występuje czterdziestu Mandelbaumów, i jak napisał sam autor: „W razie braku statystów liczba Mandelbaumów może być zredukowana do piętnastu. Nigdy jednak nie powinna upaść poniżej tej granicy”. Nasz reżyser, Józef Milczykupa, nie zamierza iść na łatwiznę. – Mandelbaumów będzie czterdziestu, choćbym się skichał – zapowiada. Chętni do statystowania proszeni są o zgłaszanie się bezpośrednio do reżysera w pubie „Wylde Goose” przy ul. Dostojewskiego w godzinach 17-22.

POCIĄG DO SZTUKI WKRÓTCE PRZYJEDZIE

Od czasu, gdyśmy ostatnio poruszali na tych łamach tematykę częstochowskiej Konduktorowni, trochę się zmieniło. Przede wszystkim wspomniany budynek został odremontowany i świeci bajeranckim frontonem na całą ulicę Piłsudskiego. Niejeden przechodzień myśli sobie: „O, tutaj to dopiero muszą być frytki!” Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych idzie jak burza. Na mieście gadają, że przyszła kolej na przejęcie budynku dawnej toalety dworcowej.

SUKCESY TEATRALNE

Teatron Częstochowski może się pochwalić kolejnym sukcesem artystycznym. Na Festiwalu Teatralnym w Prabutach furorę zrobiło, wyreżyserowane przez Piotra Sumatrza, przedstawienie „Vuyaszek Bania” na motywach znanego dramatu Antoniego Czechowa. Spektakl zdobył pierwszą nagrodę za kostiumy i charakterystykę, których przygotowaniem zajęła się Andrzejka Greenman.



Na naszym zdjęciu Adam Korbasiwicz w roli Astrowa

OŻYWIENIE CZĘSTOCHOPU

Wydział Rewaloryzacji Obszarów Niezbyt Artystycznych planuje utworzenie ośrodka kultury hiphopowej w Częstochowie. Szczególna uwaga zostanie poświęcona graffiti. Mohammed Kawka, kierownik centrum: Widzimy, jak pomazane są domy w naszym mieście. Gdyby tak lepiej zorganizować graffitiarzy, dać im dobre wzorce, to wzrósłby poziom artystyczny graffiti w Częstochowie, a przy okazji można by uatrakcyjnić nieciekawe elewacje. Sekunduje mu pani Pseudoefedryna Dobrowolska ze stowarzyszenia „Pancerna Pięść Trzeźwości”: Nie znoszę rapu! Niech już lepiej malują po ścianach. Wiemy, że wraz z utworzeniem centrum planowana jest katedra graffiti hiphopowego w Akademii Jacka Długosza. Będzie ona zajmować się badaniami naukowymi zjawiska graffiti oraz konserwacją i dokumentacją szczególnie udanych dzieł, a z czasem stanie się też ośrodkiem szkolenia dyplomowanych graffitiarzy hiphopowych. Tymczasem w ramach rozwoju graffiti planuje się pokryć malunkami budynki stojące w awangardzie częstochowskiej kultury: Konduktorownię (sceny dworcowej) i dom Poświatowskiej (sceny z życia poetki).

SPÓR O SZCZURA

Dyskusje o kulturze mogą mieć bardzo gwałtowny przebieg. Pewnej nocy policja otrzymała zgłoszenie, że przy ul. Noskowskiego bije się dwóch lumpów. Po interwencji okazało się, że nie były to lumipy, a zły stan ich odzieży wynikał z trwającej już od kilku godzin walki. Jednym z przeciwników okazał się pisarz Józef W., napadnięty znienacka przez Krzysztofa A. Poszło o interpretację najnowszej powieści W. „Książę Wstydlivy”. W książce tej występuje rycerz Rudolf von Wasserhahn, okryty powszechną niesławą, alkoholik, rozpusznik i człowiek od brudnej roboty, noszący na helmie wielkiego wypchanego szczura jako klejnot. Krzysztof A. był przekonany, że posłużył za pierwowzór von Wasserhahna. Józef W. stwierdza, że nigdy nawet nie słyszał o swym przeciwniku, jednak A. wie lepiej. Ten von Wasserhahn w niczym mnie nie przypomina – zeznał. – Nawet nie mam w domu szczura. Jak można tak zniesławić człowieka? Pisarz i jego czytelnik zostali zatrzymani za zakłócanie ciszy nocnej.

SPOTKANIA NA PELENGOWEJ

Centrum Studiów Artystycznych „Neshoma” przy ul. Pelengowej 15 proponuje kolejne zajęcia dla młodych artystów. 28 października odbędzie się wykład Jerzego Amenhotepa Kwiatkowskiego „Dlaczego w Częstochowie jest tylko jeden wybitny literat i skąd wiadomo, że to ja”. Na 29 października planowane jest natomiast spotkanie plenerowe w Wierzchowisku. Doktor Shinzo Lewandowski (Instytut Filmoznawstwa Akademii Jacka Długosza) poprowadzi ćwiczenia z kręcenia filmu szkoły japońskiej dla reżyserów, aktorów i scenarzystów.

ILE WARIANTÓW?

Prof. Sulpicjusz Chraoła podjął się niezwyklego zadania: zgromadzić wszystkie nietypowe formy pisowni nazwy naszego miasta, jakie się pojawiły w najróżniejszych typach źródłach. Przypomnijmy tu, że znane są takie pisownie, jak „Czenstachow” (z niektórych nagrobków w radzieckiej części cmentarza Kule), „Czenstochova” (z ulotek, które kilka lat temu informowały o kiermaszu) albo „Cestohowa” (miasto w Teksasie, nazwane na cześć naszego). Ciekawe, ile wariantów jeszcze uda się odkryć. Profesorowi ma towarzyszyć Efraim Malafafon, dr nauk kabalistycznych Uniwersytetu Bar-Ilan, w celu obliczenia wartości liczbowej poszczególnych wersji zgodnie z zasadami gematrii.

Jerzy Kędziora

Ur. w 1947 r. w Częstochowie. Absolwent częstochowskiego „Plastyka” i gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych (1972). Rzeźbiarz, plastyk, malarz, projektant, pedagog. Kilkaset wystaw indywidualnych i zbiorowych. Kilka dziesiątków nagród artystycznych. Twórca rozpoznawalny w Europie, Ameryce i Azji.



- 1 – Balansujący autoportret na wystawie w Katowicach.
- 2 – Żeby ryby mówiły. Poliklinika Czerwonego Krzyża w Berlinie
- 3 – Nie na leczenie tu przybyłem. Ekspozycja z Świeradowie Zdroju.
- 4 – No i co, że kot? Robię jak mój pan
- 5 – „Idący przez rzekę”. Balansujący kędzior wprowadza Bydgoszcz do Unii
- 6 – Z dużym wychyłem, nad urwiskiem w Muzeum Pirenejów



